№ 45. Warszawa, dnia 26 Października (7 Listopada) 1885 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

TREŚĆ: Zabytki poezyi bulgarskiej (dokończenie). — Ziemia się ruszyła (nowella).—Ostatnia wyprawa amerykańska do północnego bieguna (dalszy ciąg). Przegląd literatury zagranicznej. — Po zaduszkach.—Korespondencya z Paryża.—Wiadomości z kraju. — Wiadomości z zagranicy. W Dodatku: Helena Middleton, przekład z angielskiego (arkusz 12).

ZABYTKI POEZYI BULGARSKIEJ.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie.)

Rozjechali się wreszcie króle i bany; Krum z młodą żoną pozostał w ojcowskiem gnieździe. Rok minął a oto w tem gnieździe zakwiliło dzieciątko:

W carskim domu radość wielka,
Bo też dziwne to pacholę;
W ręku dzwoni mu szabelka (*),
Wieszcze znaki ma na czole,
Słońce błyska z ócz dziecięcia;
Matka bierze je w objęcia
I w ojcowskie niesie progi.
Car popatrzył w oczy wnuka,
Wieszczych znamion chciwie szuka,

Woła syna: „Krumie drogi,
Na mym złotym siądź-że tronie!"
Sam mu berło kładzie w dłonie,
Kołpak kładzie mu na czoło.
Chciałby mówić... spojrzy wkoło...
Usta drgnęły, pierś już głucha,
Na wznak starzec padł bez ducha.

Dla Kruma uderzyła godzina zapasów, krew zawrzała w piersi junaczej:

Rwie się z gniazda sokół młody,
Żar rozsadza pierś szeroką,
Zjeżył szpony, wlepił oko
W Adryana gród nad grody;
Krum nie traci chwili czasu,
Woła dzielnych do zapasu,
W żartkiej piersi krew nie woda;
Pod warowne podbiegł brony,
Ale grecki wojewoda,
Ma tam zastęp niezliczony.
Siedzi w baszcie jak za tarczą,
Ztąd nad grodem czaty trzyma,
Alboż siły mu wystarczą,
Bulgarskiego zmódz olbrzyma?
Gród dokoła szczelnie zwarty,
A pod grodem bój zażarty.
Strumieniami krew pocieka,
W pień Bulgarzyn wali Greka,
Grek w Bulgara miota strzały;
Od krwi wody zczerwieniały.

Szabla Kruma krwi nie syta,
Zemsta pali serce młode;
Z onej baszty, jakże pyta,
W pole wywieźć wojewodę?
A Bilaryn rzecze na to:
—Przecz się dziwisz młody carze!
Czyś ty niebo czcił obiatą?
Krew-li ściekła na ołtarze?
Chcesz-li, Krumie, zetrzeć wroga,
Głos twój w niebo niech uderzy,
Niebo ześle Gromoboga.
On sam wroga wypchnie z wieży;
Wtedy podnieś miecz szeroki,
Odsiecz głowę od kadłuba,
Gród zdobędziesz, Grekom zguba!

Krum gotów uczcić ofiarą Gromoboga, ale i cóż mu złoży? On sam głodny i wojsko jego głodne! Smutno powiódł oczami wokół... i oto, coś mu zabielało, tam, na zielonej błoni: to gromada krów białych, wielka, nieprzeliczona.

Patrzy na nie car zdumiony,
Komuż dzięki nieść potrzeba?
To podarek młodej żony,
Upominek raczej nieba!

Na wezgłowie legła nocą,
Ledwie oczy do snu skłoni,
Nagle pióra zafurkocą,
Cichy anioł rzecze do niej:

(*) W poezyach bulgarskich, przyszły wojownik rodzi się zawsze z szablą w rączce; przyszły poeta trzyma świrkę; przyszły Bilaryn książkę i t. p.

„W miękkiem łożu, śpisz królowo,
Z złotogłowiu twe posłanie,
A Krum pierwsze twe kochanie,
Biały kamień ma pod głową!
W polu przetrwał trzy miesiące,
Wokół widzi trupów kupy,
Krwi potoki z ran ciekące,
I pożarnych dymów słupy.
Gdy wnętrzności głód mu bodzie,
Macza suchar w stęchłej wodzie.
Brak mięsiwa, brak mu chleba,
Zasłać pomoc wnet potrzeba;
Tak nie wytrwa junak dłużej,
Niech się oko twe rozchmurzy,
Do obory pobiedz tobie,
Krowy stoją tam przy żłobie,
Trzy tysiące weź z gromady,
Ślij za Dunaj w Kruma ślady."

Krasawica przetrze oczy,
Do obory w lot poskoczy,
Trzy tysiące krów wybierze,
Dziewięć doda ku ofierze.
Każda biała, centkowana,
Zaczem słonko wstało z rana,
Już pastuszki je zagnały,
I poniosły listek biały,
Nakreślony w czarne głoski.

— Miły Krumie! błaga żona,
Wieść mi przyniósł goniec boski,
Miecz twój wroga nie pokona,
Bez objaty, bez modlitwy!
Nim do walnej przyjdzie bitwy,
Uczcij godnie Gromoboga;
On ci w pomoc wnet przybieży,
Wojewodę wygna z wieży.
A gdy pierzchnie wróg już wszystek,
Przyślij z pismem biały listek,
I zawezwij mnie łaskawie,
Niech się przyjrzę twojej sławie,
Niech zobaczę gród wspaniały,
Co po ziemi słynie całej.

Car Krum poszedł za radą żony, która w ciągu całej pieśni jest mu opiekuńczym aniołem. Przebłagany ofiarą Gromobóg, podaje mu złotą strzałę z kołczanu swego i ostry miecz kładzie mu w rękę. Tak uzbrojony urośnie w bohatera.

Krum do boju w cwał pobieży,
Machnie mieczem raz i drugi;
Krwi pociekły wrzące strugi,
Płomienistą puści strzałę:
Zczerwieniały pola całe!

W oka mgnieniu zdobywa Krum, sławny gród Adryana. Wojewoda ucieka do Saloniki, ale Krum zabiega mu drogę, pochwyca go wswe szpony. Nie chcąc ubliżyć prawom gościnności, nie morduje więźnia pod namiotem, lecz rozkazuje uprowadzić go zdaleka od obozu i tam odciąć mu głowę. Na grobie jego stawia mauzoleum. Pieśń ludu złagodziła charakter Kruma, kronikarze byzantyjscy w inny przedstawiają go sposób.

Wybiła godzina tryumfu, ale zwycięzca nie poprzestaje na tem: serce jego dręczy tęsknota.

Car Krum przywdział płaszcz z purpury,
W prawej ręce miecz ma złoty,
W lewej kołczan, a z kołczanu,
Płomieniste świecą groty.
Kto żyw, niesie pokłon panu,
Pękły zwarte miasta brony,
Krum na złotym zasiadł tronie,
Czemuż duma utęskniony?
Krum o miłej duma żonie.
Chwyta żywo listek biały,
W czarne pismo kreśli cały:
„Witaj droga ty niewiasto!
Jam wspaniałe zdobył miasto,
Świat me czyny zapamięta,
Dziś wysieczon Grek do nogi,
Wojewodę skułem w pęta,
Gród mi rozwarł swoje progi.
Com ja wytrwał, czyż wypowiem?
Lecz trud krzepił we mnie ducha,
Kamień dla mnie był wezgłowiem,
Stołem była deska sucha;
Przecierpiany trud co znaczy?
Dziś inaczej, ba! inaczej!
Dziś! o rannym słońca wschodzie,
Jam gród zdobył, a w tym grodzie,
Srebra, złota pełne skrzynie;
Niech popatrzę w twarz dziecinie,
Czas nam uczcić Gromoboga,
Śpiewać pieśni, rznąć obiaty,
On mnie ustrzegł od zatraty."

Gońca z listem car wyprawia,
Mknie Tatarczuk lotem strzały;
Ledwie zorza zaświtały,
Przybył z wieścią do Przesławia.
Krasawica się zapłoni,
Stroi w bisior i bławaty,
Złotolite kładzie szaty,
Srebrnym rąbkiem lica słoni;
W długie kosy włos zaplecie,
Z kolebeczki wyjmie dziecię,
Na bieguna rączo skoczy,
Orszak wiedzie ją ochoczy:
Zbrojnych mężów trzy tysiące,
Droga ciężka i daleka,
U bram grodu car Krum czeka,
Na dzieciątko patrzy śpiące,
Wita żonę, ściska syna.

Krum cwałuje obok żony,
Patrzy na nich tłum zdziwiony,
Kto żyw, kornie głowę zgina;
Ona patrzy, z lic niewieście,
Żarem tryska radość szczera,
Błogo panią być w tem mieście,
Milej żoną bohatera,
Co ten zdobył gród nad grody!
Gdzie rzuć okiem, pełno czarów,
Krum do żony rzecze młody:
Widzisz greckich dom Cezarów,
Adryana to stolica,
Wstąpmyż razem w one progi.

Zapłonęła krasawica,
Pierś jej zbiegła dreszczem trwogi,
Tym do cara rzecze słowem:
„Nie przestąpię tego progu,
Aż przysięgę złożysz Bogu,
Że w tem gnieździe cezarowem
Nikt nie przeklnie twego miecza,
Niechaj prawo zabezpiecza,
Lud od gwałtu i łupieży!
Niech nie dzwonią branki w pęta,
Niech w kołyskach niemowlęta,
Nie zasłyszą skarg macierzy!"

Carskie lica błysły żarem.
„Milcz szalona! jam tu carem,
Mnież kark schylić przed niewiastą?
Strzeż mnie Boże tego sromu!
Byłoż tobie siedzieć w domu;
Złupię, spalę, zburzę miasto!
Skuję w pęta branki młode,
Do Przesławia je powiodę;
Niech mój wierny lud zobaczy,
Te Greczynki, bo inaczej,
Przecz zdobywać gród ten było?"

Z ócz niewiasty łza popłynie,
Wzrok obróci ku dziecinie,
Trwogą zadrży matki serce;
Mówi, głos jej łkaniem wzbiera:
— Jam pragnęła bohatera
Uczcić w tobie, nie mordercę.
Moc twa starczy, pyszny carze,
By w proch skruszyć gród ten stary,
Lecz nie starczy, by miecz kary,
Nad tą dziecka wstrzymać głową.
Za łzy ludu, Bóg cię skarze
Śmiercią drogiej twej dzieciny.

— On nie umrze z mojej winy!
Silnym głosem car odrzecze.
Wierni moi! w pochwy miecze!
Nie chcę branek, gardzę łupem.
Włos nie spadnie z głowy Greka,
Kto popełni czyn zbójecki,
Sam z mej ręki padnie trupem,
Niech me dziecię żyje zdrowo!

Brzmi po mieście carskie słowo.
Krasawica z konia zsiada,
Zastawiona wnet biesiada;
Krum swe druhy uczcił godnie:
Trwała uczta trzy tygodnie.

Po tryumfalnych godach, car bulgarski wyprawia żonę z dzieckiem do domu, sam po nowe spieszy wawrzyny. W pięć tysięcy żołnierza pędzi na Konstantynopol. Po drodze zdobywa liczne grody. Stary Bilaryn upomina go, że nie podziękował bogom za zwycięztwo. Krum zatrzymuje się, buduje kolednik, sam chwyta nóż ofiarny, zabija dziewięćdziesiąt krów, na objatę bóstwu Koladzie; błaga niech raz jeszcze ześle Gromoboga z ognistym piorunem na Byzantynów w ich stolicy. Podczas obrzędu ukazuje się Juda Samowita (*), pod postacią starej znachorki. Długie kędziory słonią twarz jej i spływają do ziemi. Rozpuszcza je na wiatr, wpada w zachwyt, z ust jej toczy się piana, głos rozlega się grzmotem po sklepieniach świątyni. Zasiada na trójnogu. Stary Bilaryn bierze w rękę biały liść i czernidło, zapisuje natchnione słowa wieszczki:

Naprzód Krumie! carze młody,
Na zwycięztwa, na przygody,
Siecz na miazgę, morduj srodze,
Niech nie ujdzie żywa noga;
Greckie miasta burz po drodze,
W ślad za tobą krew, pożoga:
Masz w obozie Gromoboga!
Wnet w tryumfie z ćmą narodu,
Wkroczysz w bramy Carogrodu;
Tam cichaczem syny wraże,
Śmierć gotują... strzeż się carze!

(*) To samo co Wita u Serbów, niebianka opiekująca się Bulgarami.

Krum listem do Cezara zapowiada pochód swój na stolicę. Przyrzeka, iż nie wnijdzie przemocą do grodu, jeśli Cezar odziany w wór pokutniczy, powita go jako zwycięzcę u bram miasta. Grecy przyjmują upokarzający warunek. Z mieczem podniesionym do góry, z sajdakiem pełnym strzał, Krum na czele bitnej drużyny, przybywa pod bramy Byzancyum. Młody Cezar czeka tam na zwycięzcę; głowę pokrył czarnym całunem, przy boku jego stoi patryarcha w czarnym płaszczu, z tyarą na czole; w prawicy trzyma księgę złotą, w lewicy czarny różaniec. Krum zsiada z bieguna, wierny danemu słowu, zapowiada, że nie będzie pastwił się nad miastem. Cezar wiedzie go do pałacu, przedstawia go księżniczkom.

Wszystko zrazu szło najlepiej. Nagle poeta krzyknie z gniewem: „Ha, przeklęty patryarcha! bodaj go żmije zakąsały."

I cóż uczynił patryarcha? Oto skłonił głowę przed Krumem, wzywa go niechaj pocałuje księgę ewangelii, niech się zrzecze błędów pogańskich.

Słyszy to Krum, podnosi miecz, jednym zamachem odcina głowę starca. I rozkazuje wojsku rozbić namioty nad Bosforem; sam rozsiada się w pałacu cezarów, rządzi w nim samowładnie. Powolny do zbytku Cezar mieni się wasalem zwycięzcy, pełni we wszystkiem jego wolę: buduje kolednik, zabija bydło na objaty. Krum tymczasem z sajdakiem pełnym strzał, z nagim mieczem w prawicy, krąży po mieście, przygląda się z daleka, ażali wszystko idzie po jego myśli. Aż tu razu jednego, strzała świsnęła mu nad uchem, lecz grot go nie dosięgnął.

Powstaje straszny zamęt, Bulgarzy domagają się zemsty, Grecy drżą przerażeni. Cezar błaga o łaskę, składa winę na dworskich panów, wydaje winowajców na pastwę cara.

Krum porzuca Byzancyum, wlecze za sobą jeńców skutych w łańcuchy, z szyją okręconą powrozem.

Był między nimi wielki wezyr. Zabiera także grono najpiękniejszych dziewic; lotem strzały pędzi do Pereasławia. Przygody zatrzymują go w drodze.

W podziemiach zamku Adryanopolskiego, znajduje cudnie piękną dziewicę, to córka greckiego cesarza; ukryto ją tam przed Bulgarami. Ale księżniczka łaskawem okiem patrzy na bohaterów, przyrzeka nawet rękę carskiemu bratu. Krum poruszony do głębi serca, odsyła jeńców do Byzancyum, przebacza im zbrodnię, zaprasza ich nawet na wesele.

Szeroko poeta opisuje gody i dziękczynne ofiary, tak wreszcie zakończa epopeę:

Nasz bohater Krum nasz młody,
Ziemia przed nim drży w pokorze;
On Byzanckie zdobył grody,
On krwią zalał Czarnomorze,
Oręż błyska, pożar chłonie,
Sam Nicefor drży na tronie!

KONIEC.

ZIEMIA SIĘ RUSZYŁA.

NOWELLA

NA TLE XVII WIEKU.

PRZEZ

Wiktora Czajewskiego

I.

Śnieg ogromnemi płatami walił nie na żarty, zasypując szeroką, piaszczystą drogę, po której koleił się duży wóz, zaprzężony w cztery niewielkie koniki, ciągnące go z niesłychanem natężeniem. Na wozie siedziało dwóch mężczyzn i furman na koźle, jeden i drugi początkowo strząsał z szat zaspy śnieżne, ale widząc, że to się na nic nie przyda, porzucili obaj niewdzięczne zajęcie i zdając się na przytomność powożącego, otulili się lepiej płaszczami, z po za których tylko dwie pary bystrych, świecących oczu wyglądało.

Tymczasem śnieg zwiększał się coraz bardziej, a na niebie nagromadzała się masa ciemnych, szarych chmur, przyspieszając wcześnie zapadający zmrok zimowy.

Piękny to obraz, kiedy chmury sypią tyle białych, chociaż martwych i zimnych kwiatów na ziemię; kwiaty lecą, wirując w powietrzu, jakby drobne, żyjące istoty.

Ta gwiazdka śniegu zatacza łuk, jakby areolit spadający, inna znów leci niby jaskółka, owa jak motyl, to znów jak muszka. Jedna drugą trąca, a wszystkich ich takie niezmierzone liczby. Pięknie to wygląda, a jeszcze piękniej, kiedy czarna ziemia przybiera się w białe lśniące szaty, a bezlistne drzewa na cienkich gałązkach unoszą stosy tego zimowego kwiatu, który obsypuje go tak białością, jak wiosna zielonemi liśćmi.

Pięknie to zapewne wygląda, lecz nie dla tych, którzy znajdują się w drodze.

Wśród takiej-to pory jechali dwaj podróżni.

Jeden z nich starszy, to Birkowski Fabian, drugi młodszy, Starowolski Szymon: obadwaj uczeni, obadwaj luminarze naszego społeczeństwa. Pierwszy z nich już oddawna duchowny i profesor Akademii krakowskiej, był znany jako przykładny towarzysz obozowy z wypraw wołoskich i tureckich, a później pozyskawszy sobie rozgłos, został kaznodzieją króla Władysława IV. Drugi jeszcze nie był duchownym, i niewiadomo nawet, czy miał nim zamiar zostać kiedykolwiek. Obecnie wracał z trzeciej naukowej wycieczki z zagranicy, gdzie badał archiwa i zawiązywał stosunki z uczonymi, a przedewszystkiem towarzyszył jako mentor Aleksandrowi Koniecpolskiemu synowi hetmana, oraz Stefanowi Sobieskiemu, gdyż oddawna już pozyskał sławę: badacza, krytyka historycznego i wybornego pisarza.

Początkowo, zanim śnieg zaczął padać, płynęła żywa rozmowa pomiędzy dwoma uczonymi. Starowolski opowiadał sześćdziesięcio-cztero-letniemu koledze o nowych postępach nauki, o pewnych prądach filozoficznych i tym podobnych sprawach, Birkowski słuchał go z zajęciem. Śnieg zamknął usta obydwom i tylko woźnica popędzając konie wykrzykiwał od czasu do czasu, przerywając milczenie słowami: hej, wio! hej, wio!

Dzisiaj jeszcze przy zamieciach śnieżnych często zjeżdżamy z drogi, a cóż dopiero przed dwustu laty zgórą, kiedy gościńce w bardziej jeszcze opłakanym znajdowały się stanie.

Nic więc dziwnego, że kiedy ciemny, pochmurny wieczór się zbliżył, konie zboczyły z drogi, a woźnica po parogodzinnej jeździe z przestrachem zawołał: zbłądziliśmy!

II.

Ciekawym okazem architektury była plebania, zajmowana przez księdza Franciszka.

Niewielki ten drewniany, pochylony domek, mieścił w sobie cztery izby, z których jednę zajmowała czeladź. Obok była izba księdza proboszcza, a raczej administratora parafii, bo probostwo dzierżył kto inny i kto inny pobierał dochody; za nią zaś znajdował się pokoik schludnie utrzymany, należący do siostrzenicy księdza, ślicznej jasno-okiej Maryi.

W czeladnej izbie dzisiejszego wieczoru był ruch niezwykły. Opowiadano przeróżne rzeczy, a Janowa z Bieli przyniosła wiele ciekawych wiadomości, między niemi najważniejszą, że żyda dyabli porwali, że czarownik przemienił pijaka Marcina w kobyłę, a księżniczka Lapilandzka kończy swoją pokutę.

Ksiądz proboszcz zjadłszy wieczerzę odmówił już wieczorne modlitwy, a czytając machinalnie brewiarz, przysłuchiwał się tym bajdom czeladzi. Po każdej skończonej opowieści następowało ogólne westchnienie, a później robiło się w izbie cicho, *jakby makiem zasiał*, dopóki kto nie rozpoczął opowiadać nowej baśni.

Najsilniejsze jednak wrażenie wywołało opowiadanie Maciejowej, która zaklinała się na wszystko, że tuż we wsi, pod Stachową groblą, około mostku, zły duch ciągle się ukazuje i męczy często młode, pokutujące za winy ojców duszyczki, które lękając się tych cierpień, na lekkich skrzydełkach utkanych z pogubionych przez aniołów piórek, biegną pod opiekę Bożą, do parafialnego kościołka i tam uderzają w sygnaturkę. Wtedy dzwonek wydaje cichy płaczący szmer, a kto go usłyszy, powinien natychmiast zmówić trzy Zdrowaś Marya i trzy razy Wieczne odpocznienie. Taka modlitwa ulży duszyczkom, bo zły duch upada w błoto i ginie pod Stachową groblą.

Tak spędzano zazwyczaj zimowe wieczory na plebanii, bo i cóż na wsi wieczorem można było robić? Prządki przędły, a parobczaki siadali dokoła komina i naśmiewali się z dziewuch.

Ksiądz proboszcz jakkolwiek nie mięszał się do gawęd gromady, jednakże tak przyzwyczaił się do tych pogawędek, że niemal żyć bez nich nie mógł i kiedy czeladź szła na wesele lub zabawę, wtedy księdzu proboszczowi brakło czegoś. I jakże miało być inaczej?

Trzydzieści lat już minęło, jak został administratorem tej parafii. Odtąd ani na krok się z niej nie wydalał. Po dochody przyjeżdżano i zabierano je. Proboszcz korzystał tylko z jednej części i był z tego zadowolony. O herezyi nie myślał, bo w parafii nie było ani jednego heretyka. Mówił kazania ciągle, a za przewodników służyli mu Ojcowie kościoła: św. Tomasz z Akwinu, Duns Skotus i Tertulian.

To też stosownie do obowiązków ułożyło się całe życie proboszcza. Rano zwykle odprawiał mszę świętą, później jadł śniadanie, następnie szedł w pole, zkąd powracał na obiad. Po obiedzie drzemka, po drzemce podwieczorek i znowu w po-

le, potem wieczerza i pacierze. Zimą zajęcie zmniejszało się, to też nudziło się starcowi.

Letnią porą spędzał wieczory pod rozłożystym dębem ze swoją ukochaną Marynką, opowiadając jej cuda o niebie i ucząc ją astrolabii. W zimie pozostawało mu już tylko jedno: siedzieć przy kominku i nasłuchiwać baśni, opowiadanych przez czeladź. Marynka wtedy siadała przed nim z robotą.

Stary proboszcz nie lubił zimy, jak zwykle nie lubią jej starzy, za to lato podnosił do ideału, a pośród pięknych wieczorów rozpływał się prawie z rozkoszy, wpatrując się w piękne niebo zasłane gwiazdami, z których czytał jak z księgi.

Tak zeszło lat trzydzieści i stary proboszcz nie żądał niczego więcej, bo był zadowolony z siebie, z parafii, a najwięcej z pięknej jak róża siostrzenicy.

Przeszłej jednakże wiosny zaszła nieznaczna zmiana w kółku parafialnem. Dawny, stary organista, jeżdżąc z opłatkami przeziębił się, zachorował i przeleżawszy trzy miesiące, zmarł nareszcie.

Parafia została bez organisty, bo starzec, ani myślał przygotować po sobie następcę, licząc na to, że dłużej żyć będzie, a Bóg widząc jego niezbędną potrzebę dla parafian, nie wyśle kościstej śmierci z żelazną kosą, aby mu życie jak kwiat na łące podcięła.

Inaczej jednak się stało i biedny starzec zgasł wcześniej niż przewidywał. Po śmierci jego czas jakiś odbywały się tylko ciche nabożeństwa, aż wreszcie stęsknieni parafianie za starym fałszywym organem, kiedy przyjechał po dochody właściciel parafii, uprosili go o organistę.

Uwzględniwszy te słuszne wymagania, dygnitarz przyrzekł ludkowi, że otrzyma dobrego grajka i przysłał niezadługo przystojnego, młodego pana Józefa, w długiej, czarnej, po kostki sięgającej z kitajki kapocie, z wąsikiem podkręconym do góry i z tombakowym pierścionkiem na palcu. Organista przyjechawszy do parafii, zaraz obejrzał kościół, a wypróbowawszy organy, powiedział, że gorszego instrumentu nawet żydzi w bóżnicy nie mają, a cóż dopiero uczciwi katolicy. Na takim instrumencie trudno Boga chwalić, bo w niebie aniołowie mają wyśmienicie nastrojone ucho i fałszywych tonów, tak samo jak i fałszywych ludzi nienawidzą. Wreszcie nawet czarci od takiej muzyki pouciekaliby, skryliby się za dziesiątą granicę a cóż dopiero ludzie na ziemi mieszkający.

Wszystkich tych uwag słuchali parafianie z przykładną cierpliwością, nie myśleli jednakże o restauracyi instrumentu, ale gdy organista dokończył, że tylko Kaini Bogu na ofiarę puste snopki składają, takie tem wywołał wrażenie, że cała parafia jak nie ryknie, jak nie zacznie wypłakiwać, jak z bractwa nie ruszą po kościele, tak się wnet posypały grosze, że nazajutrz już można było wyjechać po organ-majstra, który miał poprawić tony w tym Bogu jeno grającym instrumencie.

Wyporządzono tedy organy, a organista jeszcze dogadywał, że kościół za mały, że w takiej dziurze, jak się napcha wiela chłopów, to głos się nie rozchodzi dobrze i wciąż był niezadowolony z parafii, choć mu parafianie lepiej płacili jak dawnemu i więcej znosili gościńców.

Mówił nawet, że rzuci parafią, bo mu nie dla chłopów grywać, jeno dla szlachty, która ma więcej respektu i prędzej może się poznać na artystycznej muzyce, ale przytem nie bardzo spieszył się w drogę i wygrywał różne pieśni na organach.

Był to człek wielce uczony w swym fachu, palce latały mu po klawiszach, jak oczy dziewuch po chłopakach, a organy brum, brum, brum... i tak ci różne różności wygrywały, że widocznem było dla wszystkich, iż taki majster wszędzie znajdzie kawałek chleba.

Że zaś nie spieszył się z wyjazdem, to jeno chyba można było przypuścić, iż winny temu oczy pięknej siostrzenicy księdza proboszcza.

Rzeczywiście organista często pilnował drzwi jegomości, chociaż chata służby kościelnej stała z drugiej strony kościoła i tam mieszkał organista. Rad mu też był i ksiądz jegomość, bo i jakże nie miał być rad, kiedy ten trzymał się proboszcza, opowiadając mu przeróżne rzeczy, a zawsze natrącał, że szkoda się tu marnować na wsi, bo człek więcej może zyskać na szlachcie, jak na chłopach. Sam jednak nie był szlachcicem i dlatego, jak tylko proboszcza rozgniewał lub znudził, to mu starowina wnet odpowiadał: „kiep ten ptak, co swoje gniazdo kala".

Nie wiem jednakże, co tam wtedy myślał młody pan organista, jednakże widać mu było z twarzy, że słowa proboszcza strasznie mu dokuczały.

Nieraz też spotykali go ludzie, jak się wpatrywał przez okno w izdebkę, w której mieszkała panna Marynka, ale wtedy znikał im z oczu i udawał, że szedł do plebanii.

— Ja tam — powtarzał często do proboszcza— rzucę tę parafią i pójdę do Warszawy, Krakowa albo innego jakiego dużego miasta, tam człek może prędzej zaskarbić sobie łaski panów i zostać szlachcicem a wtedy... — Reszty nie kończył, jeno trzaskał w palce. — A tu księżę proboszczu, Ojcze duchowny, co? Żeby wszyscy nawet chłopi chcieli mnie zrobić szlachcicem to nic z tego.

Po takich opowiadaniach młodego organisty, zmienił się i ksiądz proboszcz trochę. Od czasu do czasu powtarzał do ludzi:

— Organista ma racyę, bo cóżem ja u was wysłużył, choć trzydzieści lat mego życia przepędziłem z wami?

Na ustach błąkał mu się wyraz często przez organistę powtarzany... bydło... lecz w czas miarkował się i nie kończył frazesu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA DO PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. B.

(Dalszy ciąg.)

Po nowej wycieczce sześciodniowej przedsięwziętej w kierunku zachodnim dla zwiedzenia gór nazwanych Stanami Zjednoczonemi, odbytej bez psów i sani między 13 a 19-ym Czerwca, należało rozstrzygnąć nader ważne pytanie: czy zostać jeszcze w warowni Conger podczas zbliżającej się zimy i czekać na przybycie obiecanego okrętu; czy też zabrawszy z sobą nieodzowne zapasy żywności, wracać jak najspieszniej do Ameryki?

Pomimo lata działanie słońca było nader słabe, lody topniały zwolna, i w prędkim czasie mrozy zdolne utrudnić przeprawę były nieuniknione. Jeżeli więc w roku zeszłym nie mógł przybyć okręt do warowni Conger, tem mniej ta pomyślna okoliczność była przypuszczalną w roku bieżącym. Każdy bez wyjątku stęskniony do ojczyzny, życzył sobie jak najspieszniej wrócić do domu; nie zbywało więc na argumentach udowadniających konieczną potrzebę opuszczenia warowni Conger w czasie bieżącego lata.

Wedle ogólnego zdania, zebrane wiadomości dotyczące stanu oceanu i cieśniny rozdzielającej ziemię Grinell od Grenlandyi, mogły być nader użyteczne dla międzynarodowego kongresu, jako przyspasabiającego nowe wyprawy do bieguna. Zapytanie dotyczące powrotu oddał przedewszystkiem major pod rozpoznanie oficerów, którzy po długich rozprawach wyrazili zdanie, aby nie czekać miesiąca Września 1884 r., jak tego wymagały dane przez rząd amerykański zlecenia, ale skoro tylko osłabione lody pod wpływem działania ciepła uczynią żeglugę możliwą, natychmiast uskutecznić odwrót, czyli wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ruszyć w drogę w pierwszych dniach Sierpnia. Skoro zdanie to przeszło do wiadomości ogółu, głośne okrzyki radości rozległy się po całej warowni, myśl podróży do Ameryki znalazła ogólne uznanie. Major chociaż życzył sobie niemniej od innych wrócić do ojczyzny, nie tail jednak przed towarzyszami rzeczywistego stanu rzeczy. Żadna gwałtowna potrzeba nie zniewalała do opuszczenia warowni Conger, zapas żywności był dostateczny do zaspokojenia całorocznych potrzeb, a w trakcie tego mógł przybyć okręt z Ameryki. Uwagi te jednak nie trafiały do przekonania marynarzy i wszyscy bez wyjątku głosowali za powrotem.

Należało jednak wprzód pomyśleć bezzwłocznie o przysposobieniu środków, zdolnych ułatwić wykonanie zapadłej uchwały.

W tym właśnie celu major wysłał sierżanta Rinki do odnogi Thanks God po lodową łódź *Conat de glaces*, zostawioną tam przez porucznika Beaumont. Ten statek morski dlatego ma nadane miano *lodowej łodzi*, że może być użytym zarówno do żeglugi, jakoteż do posuwania się po nagromadzonych lodowiskach, z tego względu jest nader użytecznym do wypraw ku biegunowi. Prócz tego urządzono nowy skład żywności na przylądku Baind, aby w razie potrzeby mieć pod ręką gotowy zapas. Powrót był nieodwołalny a chociaż sprzeciwiał się otrzymanym zleceniom, trudno rzucić na uczestników wyprawy kamieniem potępienia.

Zbywało im na wiadomościach z ojczyzny, zdolnych wzbudzić w sercach odwagę i wzmocnić wytrwałość: dla jednych lub drugich przyczyn, rząd amerykański nie dotrzymał warunków umowy a nie nadsyłając ludzi do zmiany, nie miał prawa wymagać od majora Greely i jego podwładnych bezwarunkowego posłuszeństwa.

Zresztą sam zbieg okoliczności ukarał ich srogo za spełniony przez nich czyn samowolny.

IV.

Rozpoczęty odwrót i napotykane przeszkody.

Podróżni oczekiwali niecierpliwie na stosowną chwilę, do uskutecznienia zamierzonego powrotu do ojczyzny. Na nieszczęście lody topniały zwolna, a choć zmiękczone znacznie, stawiały jednak dla żeglarzy nieprzezwyciężoną zawadę. Dopiero dnia 4 Sierpnia powstała burza, będąca w podbiegunowych okolicach głównym czynnikiem zachodzących zmian w układzie lodów, bez względu na czas, kilkogodzinne wstrząśnienia oswobodziły zatokę Lady Franklin z nagromadzonych brył lodowych tak dalece, że dały się dostrzegać drogi ruchome w kierunku cieśniny Robeson, aż do ostatnich granic horyzontu.

Podróżni wprowadzając w wykonanie zapadłą uchwałę dotyczącą opuszczenia warowni Conger, zaczęli czynić ostateczne przygotowania, ale bez gorączkowego pośpiechu. Smutne przeczucia ogarnęły serca wszystkich, gdyż skutkiem długiego pobytu w jednej z okolic i wzniesienia w niej domu mieszkalnego, mieli zapewniony byt znośny, a nawet do pewnego stopnia przyjemny, tymczasem w zamierzonej podróży przyszłość przedstawiała się groźnie i zastraszająco. Obawy jednak te i złe przypuszczenia ukrywali starannie jedni przed drugimi, nikt nie ośmielił się ujawnić dręczącej jego serce niespokojności, przeciwnie panowała w obozie pozorna radość.

Każdy spełniał z gorączkowym pośpiechem zleconą sobie czynność, chcąc tym sposobem oddalić z umysłu złowróżbne przypuszczenia. Wkrótce jednak drobna napozór okoliczność, stała się powodem ogólnego wzruszenia, zdzierając maskę z oblicza podróżnych. Posiadane statki mające posłużyć do żeglugi, wystarczały zaledwie do zabrania ludzi, koniecznej żywności i nieodzownych sprzętów. Nie było zupełnie miejsca do przewiezienia psów i wypadało takowe pozostawić w warowni bez opieki, czyli skazać na niewątpliwą śmierć z powodu zimna i głodu. Ze względu na tyle smutne następstwa byłoby lepiej zabić ich przed odjazdem, ale nikt nie miał odwagi spełnić tego; przeciwnie z prawdziwemi oznakami żalu, żegnali podróżni wiernych towarzyszów, tak źle nagrodzonych za oddane usługi. Chcąc odwrócić baczność psisków od czynionych przygotowań do wyjazdu, odbili beczki z tłustością mięsem i sucharami, z tak ponętnemi dla nich przysmakami. Podarunek ten jednak mający tylko przedłużyć konanie, nie zrobił żadnego wrażenia, psy przeczuwały grożące im niebezpieczeństwo, przenoszenie różnych przedmiotów na statek zapowiadało coś nadzwyczajnego, obojętne też na pozostawione łakocie trzymały się tuż przy boku podróżnych. Była to scena prawdziwie dramatyczna, skoro nadeszła chwila do odpłynięcia. Psy chciały gwałtem dostać się do przygotowanych łodzi, trzeba je było odpędzać pałkami, skoro zaś zrozumiały położenie, że zostają samotnie, bez żadnej opieki, nastąpiło między niemi nieokreślone zamieszanie; wśród przeraźliwego wycia dawały oznaki prawdziwej rozpaczy, zdolnej wzruszyć serce najobojętniejszego człowieka. Odpływający naukowi koloniści płakali jak dzieci, tak żal im było biednych psów, do pewnego nawet stopnia czuli wyrzut sumienia za okazaną niewdzięczność, a po nad tem wszystkiem górowała jeszcze obawa o los własny, skoro porzucając bezpieczne schronienie, przedsiębrali tyle niebezpieczny odwrót.

Parowa szalupa nazwana Lady Greely ciągnęła trzy inne statki, z których jeden przywieziony z Ameryki, zbudowany był umyślnie do połowu wielorybów; dowodził nim Lockwood, pod którego rozkazami zostawała znaczna część zapasów. Drugi statek z kolei Narwal, pozostawiony przez Anglików na przylądku Hawks, kazał major Greely w przejeździe odszukać i zabrać na pokład dowodzonego przez siebie okrętu. Trzeci nareszcie statek, nazwany porucznik Beaumont, stanowiła owa łódź, mająca posługiwać zarówno do przejazdu po lodach jak i do żeglugi po falach morskich. Na nieszczęście, jak to zazwyczaj bywa w podobnych wypadkach, nie odpowiadała ona dokładnie ani jednemu ani drugiemu przeznaczeniu; jedynie tylko niemożność pomieszczenia ludzi na posiadanych statkach, skłoniła podróżnych do zabrania jej z sobą.

Major Greely przewidując konieczność wrócenia do warowni Conger na wypadek niemożności przezwyciężenia napotkanych zawad, zostawił na miejscu żywność, zdolną wystarczyć na ośm miesięcy i znaczną ilość tylko co wykopanych kamiennych węgli. Na drogę nie potrzebował brać wielkich zapasów, gdyż zrobione składy wzdłuż cieśniny w różnych miejscowościach, zapewniały, jak przypuszczać należało, utrzymanie w czasie podróży, nawet w takim razie, gdyby takowa trwać miała dłużej, aniżeli początkowo przypuszczano. Konieczność jednak zwracania się w różnych kierunkach opóźniała wielce podróż, co może było głównym powodem niepowodzenia, skoro żeglarze zamiast korzystać z odkrytej drogi i posuwać się szybko ku Południowi w linii prostej, zbaczali ustawicznie, zarzucając kotwicę dla wylądowania i robienia koniecznych poszukiwań. Położenie było groźne i niebezpieczne; zbyt przeciążona szalupa i ciągnąca jeszcze za sobą trzy inne statki, mogła być zatrzymaną nawet przez takie lodowiska, które wielki okręt z łatwościąby pokruszył.

Po zwiedzeniu przylądka Baird z pośpiechem rozpoczęto dalszą podróż, ale wkrótce dostrzegli niebezpieczeństwo zniewalające ich do szybkiego usunięcia się na stronę. Była to płynąca z Północy ogromna kra, zdolna w szybkim biegu skruszyć słabe statki, niemogące stawić jej najmniejszego oporu. Na szczęście dostrzeżono ją wcześnie, uniknięto więc z łatwością spotkania, skierowawszy żeglugę ku przylądkowi Calcraft. Zboczenie to nie było bez celu, bo major Greely w czasie wycieczki swej w roku 1882, złożył kilkadziesiąt funtów wołowiny pieprzonej. Jest-to artykuł żywności szacowany wielce w podbiegunowych okolicach.

Przyrządzenie jego nader proste: do gotującej wody kładzie się odpowiedni kawał mięsa na parę minut, a po wyjęciu obsypuje go się grubą solą i nietłuczonym pieprzem, zkąd właśnie pochodzi jego nazwisko.

Mięso takie po upływie pewnego przeciągu czasu nabiera wszelkich przymiotów pieczonego mięsa, jest kruche i smaczne, ponieważ gotująca się woda ścinając jego powierzchnię, nie rozpuszcza wcale pożywnych części, ale przeciwnie, rozwija niejako jego własności, przy późniejszem współdziałaniu mineralnych i roślinnych płodów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

Les moeurs et la caricature en Allemagne, en Autriche, en Suisse.

Gdyby żył do dzisiejszego dnia zasłużony badacz naszej przeszłości ś. p. Wacław Maciejowski, odczytałby z wielką radością wyszłe w Paryżu dzieło, pod wzmiankowanym wyżej tytułem: *Obyczaje i karykatury w Niemczech, Austryi i Szwajcaryi.*

Uczony ten historyk starał się udowodnić różnicę pochodzenia plemion, zamieszkujących północne i południowe Niemcy. Pierwsze, wedle jego zdania, należały do rasy germańskiej Teutonów; drugie zaliczał do Słowian, nazywanych kiedyś w tych okolicach Swewami, którzy złączeni przemocą z obcym sobie żywiołem, zmienili narodowy język, nadając mu jednak pewne sobie tylko właściwe piętna. Nie łamiąc głowy nad rozstrzygnięciem tej nader zawikłanej kwestyi, jako dotyczącej zbyt oddalonej epoki, pozbawionej dokładnych źródeł dziejowych, powiemy tylko: że dzisiaj nawet, po upływie tylu wieków, różnica charakteru i obyczajów Bawarów i Wirtembergów i t. d. z jednej, a Prusaków z drugiej strony, uważaną jest za niewątpliwą i stwierdzoną wielokrotnie przez etnografów i podróżo-pisarzy.

Mamy właśnie przed oczami nowy dowód, wspierający zrobione w tej mierze spostrzeżenia.

Znakomity pisarz francuzki pan Grand Carteret, zajął się od wielu lat opisem karykatur właściwych różnym narodom ucywilizowanym, niewyłączając nawet Zjednoczonych Stanów północnej Ameryki. W dziele swem słusznie powiada, że w karykaturach uwydatnia się najlepiej stan duchowy i moralny, również jak i usposobienie właściwe zbiorowych jednostek.

Dzieło całe wymagające wiele pracy i zachodu, obejmuje różne epoki wskazując zaszłe zmiany w miarę upływu czasu, a zawsze z różnorodnych zjawisk wyprowadza stałe prawo, będące głównem piętnem wzmiankowanych utworów. Niepodobna choćby w streszczeniu dać wyobrażenie o tej pracy, rozmiary jego są zbyt wielkie; pomijając więc przeszłość zwróćmy uwagę na współczesną nam chwilę, jako zdolną wzbudzić większe zajęcie.

Wedle zdania pana Grand-Carteret żywioł wojskowy dostarcza w Berlinie głównych postaci do karykatur różnego rodzaju, tak jak u nas Żydzi i Niemcy.

W Paryżu kobieta jest przedmiotem współzawodnictwa rysowników, w stolicy Niemiec przeciwnie, wąsiki, szabelka i ostrogi, zwracają ogólną uwagę i są celem uwielbienia kobiet a przedmiotem zazdrości dla cywilnych. Przedmioty te jednak są tylko zewnętrzną oznaką, mającą o tyle tylko rzeczywiste znaczenie, o ile nosząca je osoba posiada rycerskie przymioty.

Myśl tę właśnie rozwija jeden z rysowników opisanych we wzmiankowanem przez nas dziele. Tytuł jego: Żaba i Porucznik. Drogą bitą wiodącą wzdłuż bagna, dostrzegamy idącego oficera pruskiego w całym blasku przepychu i majestatu, pokręcającego wąsa, z głową zadartą do góry i z szablą spuszczoną umyślnie, aby brzękiem zwracała uwagę przechodzących. Za oficerem postępuje żaba na tylnych nogach, usiłująca naśladować rycerskie jego ruchy; zamiast szabli bok jej przystraja trzcina, w ustach trzyma kawałek słomy,

przypominającej niby cygaro, a zapatrzona na swój ideał pokręca nawet wąsa.

Na samym brzegu bagna siedzi inna żaba robiąca pończochę i patrząca złośliwie na swego towarzysza. Pod ryciną czytamy następujący podpis:

„Dwie żaby żyły w zgodzie, samiec i samica; samiec palił cygara, samica robiła pończochy.

„Przechodzi porucznik pełen powabu i wdzięku, młody, zgrabny, mający przy boku szablę, w oku szkiełko i pokręcający wąsika.

„Samiec skoczył na drogę a stojąc na tylnych nogach usiłuje naśladować jego ruchy.

„Kochanku mój drogi, jakże ty głupi jesteś, zawołała samica, naprózno przybierasz niewłaściwą ci powierzchowność. Żaba nie prędko zostanie porucznikiem, ale porucznik żabą już dawno został."

Sens moralny: żaba nadstawia nogę gdy konia kują, porucznik nos dźwiga w górę, gdy patrzy na cywilnego.

Inna znowu karykatura przedstawia pensyą; jedna z uczenic zamiast słuchać wykładu, patrzy uporczywie w okno.

„*Przełożona.* Panno Olgo proszę o uwagę! Cóż to panna dostrzegłaś tak ciekawego, że nie odrywasz wzroku od okna?

„*Olga.* Porucznik!

„Wszystkie zrywając się z miejsca nie wyłączając przełożonej. Gdzie? Gdzie?"

Porucznik więc w Prusach podbija serca niewieście bez wysiłku, cóż więc dziwnego, że wojskowy tam uważa siebie za istotę bez porównania wyższą od innych i patrzy z pychą na ludzi talentu i nauki. Myśl tę uwydatnia rysunek przedstawiający kirasyera, który dostrzegłszy wypadkowym sposobem swoją najdroższą w towarzystwie malarza, określa wierszem doznawane przez siebie cierpienia i powiada:

„Oh! mój Boże, oczom własnym nie wierzę, skoro pomyślę o tem com dostrzegł w czasie wieczornego zmierzchu.

„Luiza, moja ukochana Luiza, przechadzała się w towarzystwie artysty malarza, który nie będzie nigdy porucznikiem!

„Gdyby przynajmniej był kapralem, zniósłbym łatwiej doznane upokorzenie, ale być pogardzonym dla cywilnego."

Przenosząc się na południe Niemiec do Monachium, dostrzegamy tam zmieniony stosunek; obok porucznika ukazuje się kobieta częstokroć biorąca przewagę.

Jako typ posłużyć może rycina złożona z cztérech części z ogólnem mianem: „Zakochany oficer na placu mustry".

W pierwszej części porucznik uczy rekrutów komenderując: „na prawo, zwrot, marsz!" bez zwrócenia uwagi na przechodzącą tamtędy lekkim krokiem, swoją najdroższą.

W drugiej, porucznik wita z radością piękną dziewicę a rekruci uskuteczniają ciągle zlecony im ruch na prawo.

W trzeciej, kochankowie rozmawiają, zapominając o całym świecie.

„W ostatniej nareszcie, panienka odchodzi, rekruci w ciągłym marszu w jednym kierunku napotykają szynk w którego wnętrzu znikają, a zawstydzony oficer zostaje na placu nie wiedząc co zrobić ze sobą. W południowych więc Niemczech kobieta zajmuje poważniejsze stanowisko, a choć kocha porucznika, nie ulega mu jednak bezwarunkowo, jak to ma miejsce w berlińskich karykaturach, ale przeciwnie wywiera na niego wpływ tak wielki, że zapomina o czynności przywiązanej do jego zawodu.

Przeniósłszy się do Wiednia, mamy przed oczami odmienny zupełnie obraz; tam rodzinne życie stoi widocznie w pierwszym rzędzie, skoro autorowie karykatur zwrócili głównie w tym kierunku swoją uwagę.

Sceny dotyczące wiedeńskiego prateru, przypominają, wedle zdania p. Grand-Carteret, węseński lasek pod Paryżem, będący miejscem uciechy dla dziatwy i niby niespodziewanych spotkań, dla kochających się osób.

Inny znowu rysunek przedstawia robotnice wychodzące z warsztatu, wielkie panie wracające z kościoła, a opodal oficerów różnego stopnia usiłujących nadętą postawą zwrócić uwagę dostrzeżonych piękności. Pan Grand-Carteret objaśnia nas, że w miarę zbliżania się ku Słowiańskim krajom, przewaga kobiety uwydatnia się w coraz wyraźniejszy sposób.

Czy się mamy z tego cieszyć czy smucić? Rzecz nader względna, zawisła od odpowiedzi na to zapytanie: czy objaw ten jest następstwem moralnego upadku rodu męzkiego, czy też jest zapowiedzią, że nie gdzieindziej, tylko w krajach Słowiańskich, rozwiązaną będzie wielka kwestya dotycząca równouprawnienia kobiety.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PO ZADUSZKACH.

(POGADANKA.)

Gdyby obliczyć kwotę, wydaną przez Warszawian w dnie zaduszne, do rąk żebraków z rzemiosła, w ciągu jednego tylko dwudziestopięciolecia— okazała-by się ona wystarczającą dla wybudowania gmachu, w którym starość i istotna nędza mogłyby znaleźć przytułek i opiekę.

Pamięć o zmarłych i jałmużna, to dwie z piękniejszych cnót chrześciańskich, szkoda tylko że, w tym razie, bezwiednie pomagają do rozpanoszania się cechu, który jeżeli jest wogóle jedną z plag ludzkości na świecie. u nas przybiera wstrętniejszą jeszcze postać i rozmiary.

Przekroczywszy bramy cmentarza, mniej się widzi tych upadłych, co na dzień... żniwa, odziewają się w najgorszą odzież, jeżeli wogóle, odzieżą, zszywki przeróżnych kawałków nazwać się godzi, aby pobudzić lepiej do brzęczącej litości. Nim jednak, śród niezmiernego tłumu, ktoś z wrażliwszych dostanie się za mury okolenia, przejść musi zwolna, niesiony niemal żywą falą, przez moralne katusze, jakich obraz tylko w Boskiej komedyi Danta znaleźć można.

Całe szeregi brudnych rąk sterczą dokoła, całe gamy ochrzypłych głosów, setki par oczu iskrzących chciwością i zawiścią, napastują po drodze.

Niemniej przeto, może ze względu na stosunki nasze społeczne, lub żywą sympatyą jaką cieszą się Powązki, dzień zaduszny przedstawia się tam uroczo. Już-to przyznać trzeba, że publiczność nasza polska umie zachować się na takich obrzędach i ta jej część nawet, która pochód odbywa dla mody tylko, niczem prawie nie różni się od ogółu, dającego w tym dniu najświętsze uczucia na ofiarę drogich sercu.

Z Powązkami wiążą się nietylko wspominki ludzi, co w swych kółkach żal pozostawili; to niemal nasza Walhalla narodowa, jasne i chmurne lata przeszłości, dzień po dniu, że powiem: godzina po godzinie, są w niej zaznaczone, często istotnem uwielbieniem a zawsze łzami.

Nikt, bez wzruszenia, nie przestępuje chyba progu rodzinnego naszego *sanctum sanctorum*, gdzie ułożone obok siebie wieki, uśmiechają się z za cyprysów pamięcią wielkich ludzi, płaczą nad ofiarami promiennych porywów wielkich myśli, lub oburzają się, że kładziono tam i tych także, których śmierć nie lepszą była od, choćby jedną chwilą zapomnienia, splamionego żywota.

Na Powązkach mamy, w obec śmierci, odtworzone całe życie leżącego obok wielkiego grodu, ze wszystkiemi jego namiętnościami, z jego nędzą i przepychem.

Wspaniałe gmachy i dostatki i tu przedstawiają wspaniałe pośmiertne schronienia, mierność kryje się pod mogiłami, które skromny kamień przyciska, nędza zdobywa się zaledwie na drewniany znak wiary... a cóż rzec o tych grobach, które świecą nagiem czołem w umarłych mieście, na których i jednego kwiatka zasadzić nie było można?

I powiedzieć, że śmierć ma zacierać różnicę stanów, uspokajać namiętności, nienawiść łagodzić? Eh, nie! W grobach cisza bezgraniczna, ale nad niemi wre życie z całą swą szlachetnością z jednej, ze wszystkiemi nizkiemi popędami z drugiej strony!

Tłumy różnorodne przeciągają drożynami i w miarę jak zapełnia się cmentarz, na mogiłach zielenią wieńce, płoną różnobarwne światełka, ale, im dalej kroczyć ku t. z. nowemu cmentarzowi, tem mniej wieńców i świateł, tłum lepiej, dostatnio odziany niknie, na jego miejsce pojawia się mierność i nędza. I tu jeszcze wianki i lampki gdzieniegdzie, nie cenne, kilkunastogroszowe zaledwie; gdy jednak bogaci, tysiączną część rocznego dochodu na uczczenie drogich sercu poświęcili — biedni, ostatni grosz dali na ofiarę. Wielu niejadło może, aby zadość uczynić obowiązkowi.

* * *

Zmrok zapada... tłum coraz liczniej krąży dokoła mogił. Na jednej z nich, za katakumbami, klęczy młoda dziewczyna, o kilka kroków stoi, obojętnie rozglądając się, tłumiąc ziewanie, widocznie służąca. Dziewczę modli się żarliwie, ma w oczętach łzy, z piersi ciężkie wyrywają się westchnienia.

Zbliżamy się nieznacznie i czytamy na płaskim kamieniu wyryte: „Pamięci Henryka O..." nic więcej.

Kto był ten Henryk, kto jest ta piękna zrozpaczona?... nie wiemy. U stóp dziewczęcia wianek ubogi; składa go na kamieniu.

— Panienko, pójdźmy! już czas! Aby się tylko pani nie dowiedziała, że zamiast na lekcyą, tu przyszłyśmy! — szepcze służąca.

Istotnie, trzyma w rękach dużą tekę, zapewne z nutami.

— Panienko, pójdźmy! ja się boję... — powtarza.

I dziewczę powstaje z kolan ale, niechętnie. Oddala się oglądając; raz jeszcze rzuca tęskne wejrzenie ku mogile.

Tam znów, w pobliżu głównej alei, klęczy dwoje dzieci... biednie to odziane, niemal bose, wiatr mroźny podrywa perkalikowe sukienczyny. Chłopczyk żegna się i chucha w rączki, dziewczynka,

oparła czoło o prosty krzyż drewniany i duma, zapewne o swej doli sierocej.

Oddalamy się co prędzej.

Za kościołem, z tłumu krążącego po szerokiej drodze, występuje kilka osób; obce są one sobie widocznie, ale jedną kierowane myślą.. szukają zapomnianych mogił bez krzyża.

Wahają się... rozglądają uważnie... To w tej stronie?... nie, tam, na lewo!... szepczą jedni do drugich.

I nagle klękają na pożółkłej murawie, pochylają głowy. Przypomina mi się Apijska droga i katakumby starej Romy, święte męczenników mogiły i podniosły wiersz poety:

Nie ci nieszczęsni, co łzy dzisiaj leją!...

Tłum zatrzymuje się także; występuje zeń staruszka; wątła dłoń trzyma laseczkę, odzież nędzna ale czysta. I ona klęka i modli się gorąco, spłowiałe oczy przyćmiewają łzy. Wzrok osłabiony przez wiek i niedolę, ale pamięć tkwi w sercu i umyśle, tak świeża, jakby to było wczoraj! I ona tu pochowała nadzieję życia.

Odkrywamy głowę ze czcią i szepczemy śród bezmyślnych, jak ongi gladyatorowie śród Dyoklecyanowych tłumów, wrzeszczących igrzysk i chleba:

Morituri te salutant.

Zygmunt Grabowski.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Listopada 1885 roku.

Z późną jesienią rozpoczęły się uroczystości akademickie w pałacu Mazaryniego. Wiadomo, że te doroczne zebrania sprowadzają najwytworniejszy świat paryzki, pod pozorem uczczenia inteligencyi, a bardziej może dla pokazania świeżych kostiumów i kapeluszy zimowych: paryżanki bowiem stroją się na te uroczystości, staranniej niż na wieczorne teatra i koncerta. Ponieważ zaś, aby znaleźć niezłe miejsce, trzeba koniecznie przybyć na godzinę przed rozpoczęciem sesyi, znajdujem więc czas na przegląd pięknych strojów, zgromadzonych przed oczyma naszemi. Przytaczamy tu cały szereg kostiumów jakie nas szczególniej uderzyły w dniu 24 Października.

Tkaniny wełniane, stanowczo przeważają dziś nad jedwabnemi, pomimo protestacyi fabrykantów lyońskich; najczęściej jednak łączą je z pluszem, aksamitem, lub z gładkim *poult de soie*. Co do kolorów najbardziej przeważa mahoniowy w różnych odcieniach, niewłaściwie przezwany *mordore*. Nam się zdaje, że to prosta omyłka w pisowni. Drzewo po hiszpańsku nazywa się *madera*; ztąd i leśna wyspa, wydająca słynne wino przyjęła nazwisko *Madery*. Właściwiejby też modny drzewiasty kolor, nazywać *maderowym* niżeli morderowym, który od dawnych czasów, był zawsze odcieniem ponsowego. Używany zarówno kolor ciemno popielaty czyli ołowiany, jak niemniej ciemno szafirowy w zielonkowatym lub popielatym odcieniu. Nad wszystkiemi, jak zwykle panuje kolor czarny.

W formie sukien i kostiumów, to szczególniej widzieć się daje, że spódniczka roztwiera się szeroko z lewego boku, a przez ten otwór widać inną, fałszywą spódniczkę, zwykle z odmiennej tkaniny.

Stanik także otwarty z przodu; z pod niego wygląda odmienna kamizelka lub plastron.

Do najmodniejszych tkanin zimowych należą pekiny wełniane w węższe lub szersze pasy. Te pasy wypukło przerabiane, bywają niekiedy w guście wschodnim, na tle bronzowem, granatowem i t. d., częściej jednak dają się widzieć pasy wełniane pluszowe, na tle z serży tegożkoloru. Widzimy oprócz tego, tak zwany astrachan, z włosem kręcącym się nakształt astrachańskiego baranka i inny nowy zupełnie wyrób, zwany *Nid d'abeille* (gniazdo pszczolne), podobny do plastru miodu, złożonego z maleńkich celek.

Po tych wstępnych uwagach, przytaczamy tu kilka całkowitych ubrań, które nam szczególniej wpadły w oko.

Kostium czarny, z pekinu, w pluszowe i serżowe pasy. Z lewego boku spódnica pekinowa, przyfałdowana prosto bez żadnego garnirunku. Przez cały przód i prawy bok do tyłu, przechodzi szeroka i długa draperya z czarnej serży gładkiej, tworząca puff niezbyt rozniesisty, przytwierdzona do lewego boku rzędem wielkich guzików czarnych, drewnianych. Stanik do tego, z serży, obcisły w plecach, zakończony fałdowanym karoczkiem, ma przody otwarte, wolno puszczone, wkoło obszyty, rzędem czarnych drewnianych grelotek. Pod spód idzie kamizelka z pekinu w pluszowe pasy.

Na to wszystko zarzucona mantyla pekinowa, obszyta bogatą frendzlą ze szneli, przetykaną w odstępach drewnianemi grelotkami. Ślicznie dopełniała ubrania kapotka aksamitna, czarna, naszyta cała drewnianemi paciorkami, wielkości pieprzu, ozdobiona egretką z piór strusich w jasno miedzianym odcieniu.

Drugi kostium z tkaniny wełnianej w różnokolorowy marmurek, z przewagą brunatnego i ciemno ponsowego koloru. Spódniczka otwarta z lewego boku, pod tym otworem pluszowy bryt ciemno ponsowy, naśladuje pierwszą spódniczkę. Stanik krótki, otwarty z przodu; plecy u niego przedłużone, tworzą dwie klapki spadające nakształt karoczka.

Cały stanik objęty w koła, pasmanteryą z drewnianemi grelotkami w mahoniowym odcieniu. Z przodu z pod stanika wybiega marszczony plastron z ciemno ponsowego *surah*, ujęty u dołu w pluszowy bawet. Kołnierz stojący pluszowy, spięty z boku na klapkę. Rękawy gładkie z odpowiednim mankietem. Kapelusz do tego czarny aksamitny, obłożony pluszem ciemno ponsowym, z pęczkiem piór strusich tegoż koloru.

Trzeci kostium z wełnianej tkaniny, zwanej *Sanglier* w pasy tureckie na tle orzechowem; w tych pasach szerokich na trzy cale, przemaga kolor szafirowy i ciemno ponsowy. Spódnica prosto przyfałdowana, bez żadnej draperyi, rozchodzi się z przodu u pasa; z pod otworu widać bryt gładkiej materyi orzechowej, ułożony w zakłady. Stanik obcisły, otwarty w górze, poniżej zaś zachodzący do lewego boku, spięty na dwa rzędy wielkich drewnianych guzików. Na wykroju odwinięte klapy z gładkiej materyi, u rękawów takież wyłogi, z pod tych spada namarszczona walensienna. Krawat z walensienny przewiązany u szyi na wielką kokardę. Kapelusik do tego orzechowy, główka powleczona jedwabną trykotą *jersey*, spód ronda aksamitny, nad czołem upięty bukiecik z naturalnych orzechów laskowych, nad rondem egretka ze wstążki tegoż koloru, przepinana orzechami.

Z pomiędzy jedwabnych sukien, uważaliśmy najwięcej czarnych z gładkiego *poult de soie* lub *gros grin;* wszystkie po większej części mają spódnicę otwartą z lewego boku, z pod otworu wygląda plusz lub aksamit w deseń, tworzący fałszywą spódnicę. Stanik zazwyczaj gładki, otwarty, objęty pasmanteryą dżetową, ma plastron z odpowiedniego pluszu lub aksamitu w deseń.

Powiedzmy teraz słówko o materyałach jedwabnych, w jakie zaopatrzyły się na zimę tutejsze magazyny. Pekin w pluszowe lub aksamitne pasy najmodniejszy ze wszystkich. Każdy pas szeroki na trzy cale, składa się z pięciu wązkich pasków do cieniu. Widzieliśmy taki pekin, na tle popielatem, w pasy cieniowane od pomarańczowego do ciemno bronzowego; inny znów na tle niewarowem, w pasy zielonkowato szafirowe: niekiedy pasy bywają cieniowane na tle tegoż samego koloru. Materya ta pomięszana zazwyczaj z gładkim *poult de soie*. Spódniczka w pasy pluszowe, widoczna tylko z lewego boku: na to druga spódnica z gładkiej materyi, tworzy z przodu długą draperyą, z tyłu puff mniej rozniesisty niż w roku zeszłym. Stanik bywa gładki, otwarty, pod spód idzie kamizelka w pasy, schodząca się ukośnie.

Materye w kwiaty kolorowe, na tle jasnem lub ciemnem, przyjęte będą na wielkie wystąpienia. Taka materya służy wyłącznie na spódnicę, draperya i stanik bywają zwykle z materyi gładkiej, w odpowiednim do tła kolorze. Do takiej sukni długi tren stanowi konieczne dopełnienie. Skromniejsze suknie jedwabne na wizyty lub proszony obiad, mają krótkie treny *demitraine*, do wełnianych tren całkiem niepotrzebny. Młode osoby do tańca, noszą suknie sięgające zaledwie ziemi.

Zapisujemy tu śliczną suknię balową, z magazynu pani Elizy Mery (przy ulicy Caumartin N-r 48), wykonaną dla jednej z bardzo ładnych panienek naszych.

Suknia ta, w kolorze blado zielonym *Vert du Nil*, miała tylne bryty z gładkiej materyi *Surah*; z przodu spadała draperya *crepe de chine*, w tymże samym kolorze, przytwierdzona po lewej stronie, bukietem z wrzosów i paproci, nadzwyczaj lekkim Stanik do tego wycięty, całą ozdobę jego stanowił podobny bukiet umieszczony w pośrodku i drugi mniejszy na ramieniu prawem.

Z pod pleców na spódniczkę, spadał pęk długich pukli z wązkiej wstążki tego jak suknia koloru.

W tymże magazynie widzieliśmy nadzwyczaj zgrabny kaftaniczek z morderowego sukienka, zwany *Figaro*. Kaftanik ten obcisły, miał plecy zakończone w ząb i bawecik na przodzie. Wkoło stanu szła pletnia morderowa ze złotem, zakończona z obu stron podwójnemi kwastami; pletnia ta wolno puszczona z przodu, przechodziła przez stanik do ramion, zkąd spadały kwasty na rękaw.

Na ulicy ukazują się już płaszczyki zimowe z grubej serży czarnej lub bronzowej w pasy z pluszu niestrzyżonego, nakształt baranka; płaszczyk taki, podbity ciepłą flanelą, wcięty w plecach, poniżej przyfałdowany, sięgający do ziemi, ma podwójne rękawy, jedne szerokie, drugie obciśnięte u ręki. Czarne płaszczyki obszywają wkoło astrachańskim barankiem, bronzowe zaś okładają wydrą. Mufka do tego odpowiednia.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Zbliżająca się zima** bardzo różnorodne wywołuje wrażenia, różne obudza myśli i refleksye. Dla jednych jest ona wesołą zapowiedzią tanecznych szałów, tryumfów i upojeń, innym zmarszczkę przysparza na czole, grożąc powiększeniem wydatków na opał, światło i t. p.

Na poddaszach i w suterynach coraz smutniej; piosnki co bezwiednie prawie płynęły do słońca, milkną spłoszone ostrem tchnieniem mrozu rzeźbiącego na szybach fantastyczne arabeski. Ciemno tam i smutno; wesołość uciekła śladem drobnych ptasząt, co powędrowały szukać lepszej doli w świat daleki, a ludziska, niby zwyczajne szare wróble, przytulone do strzechy wyczekują grudniowych uraganów i śnieżnej zawiei.

Niemiłosierną jest ta północna królowa; serce ma z lodu i lodowate czoło, iskrami brylantów sypie nam w oczy, niby Krezus chcący olśnić biedaka widokiem swoich skarbów, a gdy ujmie zimną dłonią, to chciałaby nie wypuścić swej ofiary, aż do bram wieczności.

Zbliża się za tydzień, dwa, trzy wreszcie; kryształowe fale wód ścisną się i zetną ku zabawie i uciesze łyżwiarzy.

Gdy rozkoszować się będziemy rozrywkami „sezonu,” tenże sam „sezon” da biedakom głód i nędzę, niejedno źródło pracy zatamuje się i wyschnie, setki ludzi stracą zarobek i walczyć będą z losem o kawałek chleba.

Przytułki noclegowe bardzo w tej trudnej porze roku ważną grają rolę; otwarcie tej instytucyi zaznaczyło się w pamięci biedaków, trzeba więc je popierać by nie upadły, by rozwijały się i jak największą dla biednych stały się pomocą.

Fundusze na ten cel są do tej pory niewielkie, z przeszłorocznego remamentu pozostało 1,200 rubli, niby kropla w wielkiem morzu łez.

Odzywamy się przeto do ofiarności z której słynie Warszawa, do dobrych serc, których u nas nie braki nędza wzrasta z każdym rokiem, upadek przemysłu wytwarza proletaryat, mamy dziś tylu biednych, że zaledwie przy największym wysiłku filantropii podołać im będziemy w stanie. A że opuszczać rąk nie wolno, lecz im większą jest potrzeba, tym goręcej należy pracować, pracujmy więc, by biedni nie cierpieli!...

*** **Święto umarłych** zgromadziło w tym roku na Powązkach przeszło trzydzieści tysięcy osób, lecz widok tego tłumu, najbardziej różowego optymistę rozczarować byłby w stanie. Wesołe, uśmiechnięte oblicza, gwarna rozmowa, hałaśliwe utarczki żebraków i kolosalny apetyt wiernych, którego ofiarą padały stosy pierników, orzechów i jabłek, wszystko to sprawia nader przykre wrażenie.

A jednak, nie wątpimy, że ci ludziska mieli chęci jak najlepsze; każdy z nich pragnął odwiedzić mogiłę krewnych lub znajomych, pomodlić się, złożyć hołd zasługom i cnocie lub dla win błagać odpuszczenia: słowem dzień przeznaczony pamięci zmarłych wyłącznie im poświęcić.

Dlaczegóż nie wytrwali w dobrych zamiarach? Któż odgadnie uczucia i motywy tych uczuć w sercu olbrzyma, któremu imię trzydzieści tysięcy?...

A nam się zdaje, że najgłówniejszą przyczyną roztargnienia i tej bezmyślnej wesołości, która nas tak razi, jest ów, że tak powiemy pogański zwyczaj dekoracyi i oświetlania grobów. Prawdziwy żal nie koniecznie osłania się kirem, lecz na dno serca się chowa; symboliczne światła bywają często jedynym objawem pamięci, a grobowce ustrojone lampami i kwieciem są może bardziej samotne, niźli mchem porosły kamień lub zapadnięta w ziemię mogiła. Lud tego nie rozumie, imponują mu te świetności, ogląda je ciekawie i podziwia zachwycony.

Zamiast szeptać modlitwy, syn, który tu przyszedł na grób rodzicielki, żona opłakująca męża, lub ojciec dziecię, zwabieni widokiem kolorowych świateł puszczają się na wędrówkę po cmentarzu, oglądając wspaniałe dekoracye, porównywają je lub krytykują.

Tłum jest dzieckiem, które na pasku wodzić się pozwala; obudźmy w nim uczucia zacne i szlachetne a wykrzesany zeń ducha, zamiast jak obecnie się dzieje błyskotliwemi formy usypiać go i zatracać. Uroczystości doroczne nastręczają po temu sposobność, której zaniedbywać nie należy; trzeba tylko abyśmy sami, chcąc przewodniczyć tłumowi zreformowali własne przyzwyczajenia, stargali łachmany szychu, który nie starczy za prawdziwe złoto i dla czczej formy nie poświęcali treści.

Cześć mogiłom rozsianym po świecie, na których świateł nie ma palić komu; one same świecą, jak żywe pochodnie, modlitwy nasze ku nim spieszą, a pamięć żyje w sercach.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Dla zdrowia.** Znakomity nasz jubilat coraz bardziej upada na siłach; więzienie a głównie klimat Magdeburga, podkopują nadwątlone pracą i zmartwieniem zdrowie. Dowiadujemy się z listu szanownego powieściopisarza, pisanego do Adama Pługa, że po złożeniu dwudziestu tysięcy marek tytułem kaucyi, Kraszewski otrzymał pozwolenie na wyjazd do Włoch. Urlop ma trwać cztery miesiące, po upływie zaś tego terminu, mury więzienia otworzą się znów przed starcem, chociaż kres wyznaczonej kary jest niedaleki. Cieszymy się jednak i tą ulgą, która dodatnio wpłynie na nerwy i roztrojony organizm pracownika, pozwoli mu dalej tworzyć arcydzieła i życie przedłuży.

Pomimo niekorzystnych warunków bytu i otoczenia, trapiony chorobą, sędziwy mistrz nie ustaje w trudach; pisze ciągle, do cyklu powieści historycznych coraz nową dorzuca kartę: odwieczny dąb zniszczony u pnia zębem czasu, wystrzela w koronie świeżemi listki i powabną stroi się zielenią. Zdumiewający to objaw żywotności, której niejeden z młodych może mu pozazdrościć. Obecna epoka nie wyda już chyba takich olbrzymów hartu i siły woli.

*** **Amazonki.** Stolica Rumelii posiada korpus amazonek, którego dowódzcą jest panna Raina przełożona domu sierot.

Korpus składa się z dwunastu dziewcząt, liczących ogółem tyle lat ile kalendarz dni w roku; ochotniczek znalazłoby się niewątpliwie dużo więcej, lecz dzielne amazonki przyjmować ich nie chcą.

Ubranie amazonek składa się z szerokich, pod kolanem związanych majtek, krótkiego rajtroka, białych pończoch, czerwonego szala i kołpaka, w którym bardzo im do twarzy.

Jedyną broń odważnych dziewcząt stanowi pałasz, którym dzielnie władać umieją.

Gdy ośmnastego Września, uwięzionego Gabryela baszę obwożono po mieście, panna Raina wywijała pałaszem nad jego głową, proklamując zjednoczenie Rumelii z Bułgaryą. Jest-to kobieta znana z niezwykłej energii oraz siły fizycznej. Wyćwiczywszy swój szwadron podążyła z amazonkami do obozu rumelijańskiego, w którym obecnie przebywa.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie wieczorowe z gorsecikowym stanikiem. Gładka, jedwabna suknia, pokryta koronkową draperyą; z boku wielka kokarda z wstążki; staniczek gorsecikowy, dopełniony koronkową szmizetką. Bukiety z róż przy staniku i z boku draperyi.

Ubranie strojne wizytowe. Spódnica składana w kontrafałdy, suto przybrana kokardami. Panier, tren i stanik gładki bawełniany, dane z adamaszkowego aksamitu. Rozeta z piór strusich przy staniku i we włosach.

ZAWIADOMIENIA.

Nakładem Księgarni M. Arcta w Lublinie, w dalszym ciągu wydawnictwa pedagogiczno-szkolnego, wyszły następujące dziełka i są do nabycia we wszystkich księgarniach:

1. **Atlas przyrodniczo geograficzny,** do użytku szkolnego i domowego, ułożony podług D-ra Oskara Schneidera, w zastosowaniu do użycia krajowego, wydany pod kierunkiem A. Ślósarskiego mag. nauk przyr. Wydanie wytworne z 15 tablicami zawierającemi około 600 typów ludzi, zwierząt i roślin, pięciu części świata.. Cena rs. 1 kop. 80, z przesyłką rs. 2.

2. **Łatwy przewodnik do ćwiczeń gimnastycznych** domowych, bez nauczyciela i przyrządów, dla dzieci i dorosłych obojga płci oraz dla rekonwalescentów, z przedmową D ra Dolińskiego, z 50 figurami, oraz dodatkiem zawierającym nowe ćwiczenia z piłką. Cena kop. 25.

3. **Góralczyk Kazimierz** (Wł. L. Anczyc), książeczka dla wiejskich dziatek, które już elementarz skończyły. Wydanie drugie, przejrzane i uzupełnione przez Janka z Bielca. Cena w oprawie k. 25.

4. **Jeske August.** Arytmetyczka dla dzieci rozpoczynających elementarny kurs nauk. Wydanie 3-cie przerobione i pomnożone. Cena w oprawie kopiejek 40.

5. **Gramatyka języka polskiego,** wydanie 5-te przejrzane i uzupełnione. Cena w oprawie kopiejek 50.

6. **Mała Stylistyka,** zawierająca materyały i wskazówki metodyczne do pierwszych ćwiczeń w nauce języka polskiego. Wydanie 3 przejrzane i uzupełnione. Cena w oprawie kop. 40.

7. **Wypisy polskie.** Wydanie 5. Cena w oprawie kop. 50.

8. **Wernic Henryk.** Początkowa metoda nauki języka francuzkiego, oparta na nauce o rzeczach. Część I-sza. Cena kop. 50.

Zapisujący powyższe książki wprost od wydawcy, kosztów przesyłki nie ponoszą.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Октября 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Dodatek.



N. 1. Pudełko do rękawiczek. Deseń wyszycia na ryc. 10.



N. 2. Paletot dla chłopca.

Opis do N-ru 44.

(Dokończenie.)

N. 32. Ubranie z przeszytemi wierzchem zmarszczkami (*smock*) dla małej panienki. Zobaczyć plecy na ryc. 3 w N. 45 Tyg. Mód.

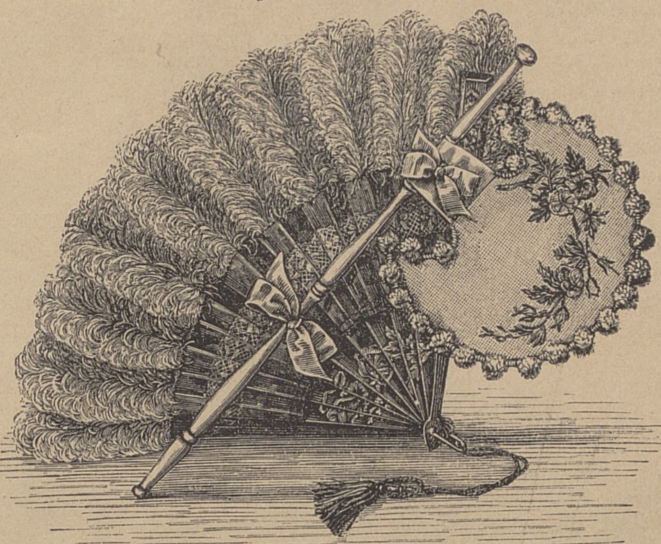
W N. 42 na ryc. 18 dajemy model marszczek zwanych smock, a przy ryc. 6 w N. 43 jest dokładny opis tej roboty, której moda i nazwa pochodzi z Anglii. Takie marszczki zdobią plastron wstawiony pomiędzy przody długiego stanika, mający w górze 10, u dołu 3 cent. szerokości. Forma stanika dana była przy ryc. 2 w N. 32 r. b.; zwierzchni materyał na środku pleców złożyć trzeba w dwie kontrafałdy 3 cent, szerokie. Podszewkową spódniczkę, 30 cent. długą, pokrywa wolant mający 225 cent. obwodu, zakończony szerokim obrębem i zaszyty w 3 zakładki. Przyszycie spódniczki do stanika przykrywa szarfa 30 c. szeroka, której końce oszyte są frendzlą i związane z tyłu sposobem wskazanym na ryc. 3 w N. 45, do której model sukienki odrobiony był z materyału wełnianego w rzucik a szarfa z materyału gładkiego. Ryc. 32 przedstawia sukienkę z popielatego mienionego cheviotu, z kołnierzem i mankietkami z aksamitu bordo, ubraną kokardami ze wstążki bordo, 6 cent. szerokiej.

N. 35. Suknia do wieczorowego ubrania, ze stanikiem kaftaniczkowym.

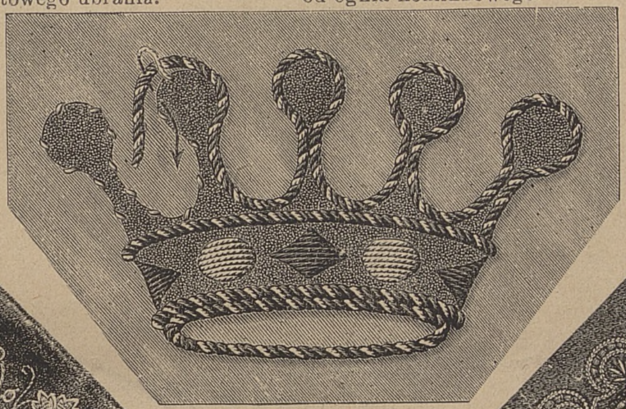
Na modelu spódnica strojnej sukni odrobiona była z jedwabnego repsu i z jedwabnej gazy w kolorze łososiowym, stanik kaftaniczkowy z faille blado zielonej w rzucik łososiowego koloru, a pasek bawełtowy z aksamitu ciemno zielonego. Pod otwarte przody stanika dana jest część kamizelkowa z boku zapinana, pokryta materyą łososiową, na której garnirunek żabotowy ułożony jest ze zmarszczonej gazy, która nad paskiem fałdowanym spuszczona jest w bufę, pod paskiem suto przymarszczona, a końce ma oszyte koronką i przepięte dwoma kokardami ze wstążki. Pod dwie koronkowe falbany, zdobiące brzeg kamizelki podkłada się do połowy muślin i przyszywa je na podszewce. Do półdługich rękawów dodana bufa z koronkowego materyału, ogarnirowana koronką.



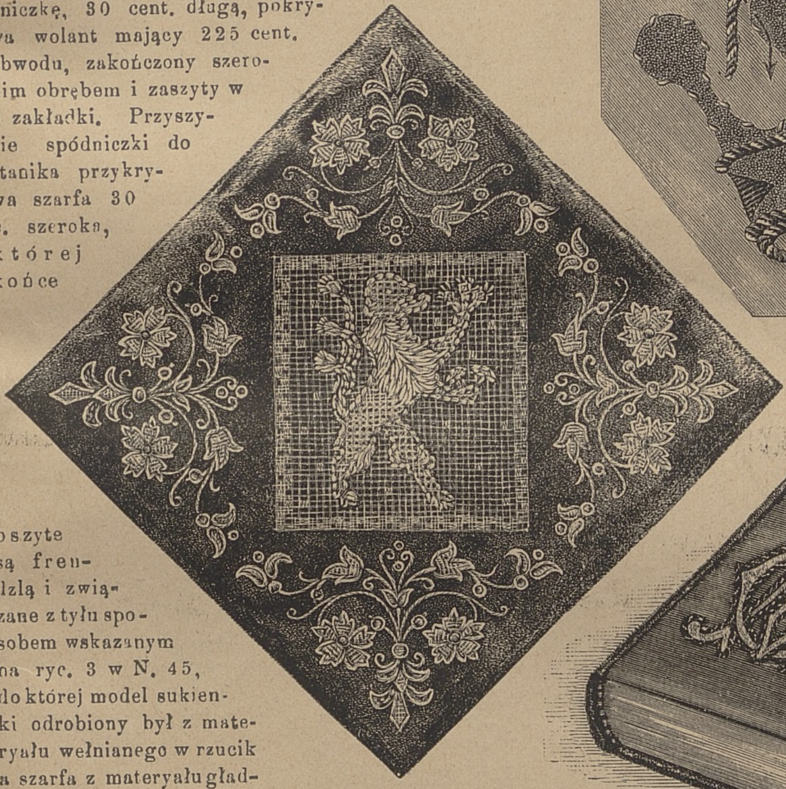
N. 3. Ubranie dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 32.



N. 4. Wachlarz do wizytowego ubrania. N. 5. Wachlarz do zasłonięcia się od ognia kominkowego.



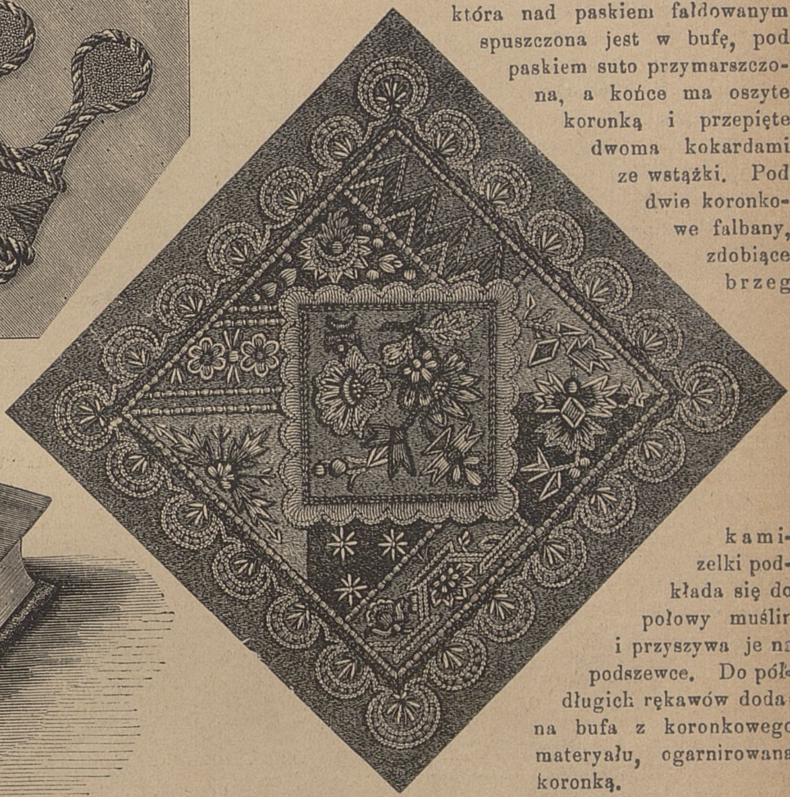
N. 6. Korona do r. 7. Aplikacya.



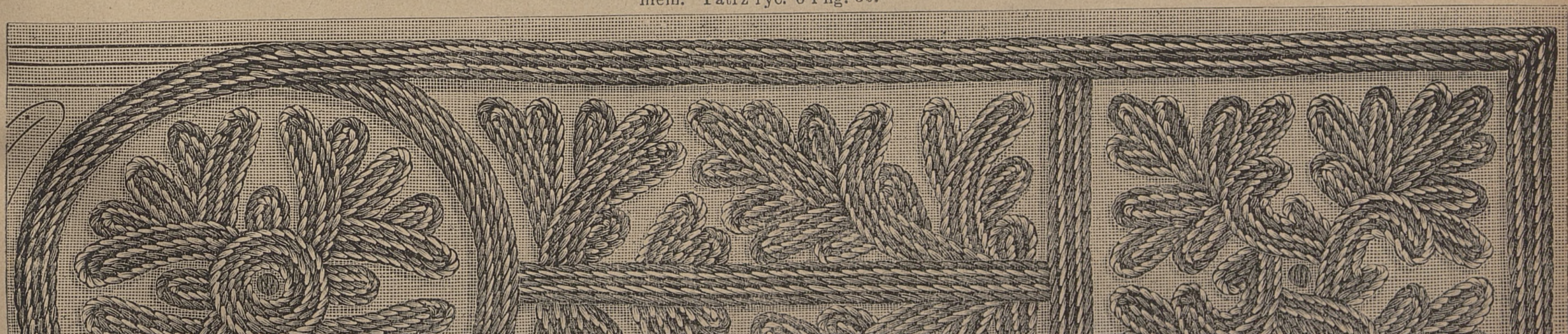
N. 8. Serwetka. Siatka gipiurowa i haft złotem. Deseń patrz na arkuszu N. 2 i 4—5.



N. 7. Pudełko w formie albumu, zdobne aplikowanym monogramem. Patrz ryc. 6 i fig. 36.



N. 9. Haft na poduszkę do kanapy. Ścieg kolorowy smyrneński. Deseń na arkuszu N. 3, f. 37—39



N. 10. Deseń na ścieg sznureczkowy, do ryc. 1.

N. 36. Ubranie spacerowe z paletocikiem. Krój i plecy na arkuszu z formami N. II, fig. 10—16.

Kamizelka tak dziś modna do ubrań salonowych, dodawana będzie także do ciepłych jesiennych i zimowych paletotów. Do modelu paletocika odrobionego z pluszu ciemno bronzowego na jedwabnej podwatowanej podszewce, kamizelkę podszywa się pod przody od punktu do gwiazdki. Szew łączący przody z boczkami zeszywa się tylko od *N* do *O*, a szew środkowy pleców do *W*; baskina przykrojona razem z boczkami fig. 12, podchodzi pod baskinę przodów do krzyżyka: Patki przy plecach zachodzą jedna na drugą i złączone są guzikiem, mającym $3^1/_2$ cent. średnicy; te guziki zdobiące także przód wykroju pod szyją i brzegi przódów mają zarówno jak i guziki do zapinania 2 cent. średnicy, wyrobione z ciemno bronzowej, mieniącej konchy perłowej. Ranwersy podszyte pluszem.

Opis do N-ru 45.

N. 1 i 10. Pudełko na rękawiczki.

Na ryc. 10 podaliśmy w naturalnej wielkości większą połowę deseniu wyszytego ściegiem sznureczkowym na wieczku pudełka, pokrytego zwierzchu gładko ciemno ponsowym pluszem, a wewnątrz bufowanym atłasem. Tło pod haft stanowi niezbyt grube szare płotno; do wyszycia zaś użyta filozela w dwóch cieniach miedziano czerwonego koloru, którą dla oszczędności można zastąpić kolorową bawełną. Zamiast rozety środkowej można wyhaftować monogram, jak to widzimy na ryc. 1.

N. 2. Paletot dla chłopca.

Model z szorstkiego wełnianego popielatego materyału ozdobiony był objęciem z zielonego sukna, które stanowiło wypustkę wokoło brzegów podwójnej pelerynki, przy pasku zapiętym z przodu klamerką i pokrywało wykładany kołnierzyk. Rzędy stębnówki zielonej i takież guziki dopełniają przyozdobienia.

N. 5. Wachlarz do zasłonięcia się od ognia kominkowego. Krój i deseń na arkuszu N. V, fig. 30.

Fig. 30 daje w naturalnej wielkości formę oryginalnego kominkowego wachlarza w kształcie chorągiewki, osadzonej na kiju drewnianym 50 cent. długim; podług tej formy wykrawa się z kanwy de congrès dwa kawałki, które składają się do siebie i oszywają z brzegów grubym drutem. Dla pokrycia drutu brzegi obrzucają się gęsto włóczką białą i zdobią małemi pomponami. Gałązka zdobiąca tło wachlarza, odrobiona podług fig. 30 blado różowym kolorem, ściegiem płaskim, który trzeba wykonać bardzo starannie, ażeby haft był jednakowy na obie strony. Połączenie chorągiewki z laską, na której jest osadzona, stanowi kawałek cienkiej tekturki, pokrytej materyą, przewiązaną kokardą z wstążki. Druga kokarda dana poniżej.

N. 11—17. Ubrania spacerowe.

N. 11. Suknia z fartuszkową tuniką.

Na spódnicy z adamaszkowego wełnianego materyału zarzucona draperya z gładkiego materyału, z przodu upięta formą fartuszkową, z tyłu złożona z prostych, suto podpiętych brytów. Staniczek z gładkiego materyału ma dodane deseniowe chusteczkowe przybranie, przyciśnięte pod szyją i poniżej wcięcia stanu szmuklerskiemi pentlicami; ubranie to wymaga dwóch skośnych kawałków, po 25 c. szerokich, z tyłu na środku zszytych w ząb.

N. 12. Ubranie z paletocikiem; Krój dopasować można podług ryc. 36 w N. 44.

Zaledwie zarzucono wyszywanie sutaszem jako nazbyt opatrzone, znowu moda powołuje je w użycie i znajduje ono wiele zwolenniczek. Na r. 12 widzimy paletocik z dubeltowego trykotowego materyału, pokrytego całkowicie wyszyciem z sutaszu, układanego stojąco. Suknia z materyału oliwkowego w grube prążki, zdobna potrójnem naszyciem z szerokiej wstążki w pasy oliwkowe i ponsowe, z przodu zostawiona gładko, z tyłu zaplisowana w płaskie fałdy. Krotka draperya z przodu, z tyłu spada w długich suto podpiętych brytach.

N. 13—14. Opis przy ryc. 12 i 13 w N. 44.

N. 15. Suknia zdobna sznurowaniem.

Przy sukni z ciemno granatowego loden i miedziano czerwonego kaszmiru oryginalne i efektowne przybranie stanowi sznurowanie dane jako ozdoba lub zamiast szwu łączącego części sukni. W tym celu, jak to wskazuje r. 15, brzegi materyału podszyte listewką lub obrębione, okute są metalowemi kółkami, danemi w odstępach 2 cent. przez które następnie przewleka się gruby sznur złoty. Bryty spódnicy w ten sposób obrzucone sznurem, złączone są klinami plisowanemi, po 9 cent. szerokiemi u dołu, na które potrzeba kawałków po 95 cent. szerokości. Draperya przednia złożona z trzech części, zesznurowanych z sobą, liczy 90 cent. długości a 125 szerokości; tylne bryty złożone z boków w podwójną kontrafałdę, w środku zaś po 3 fałdy zwrócone ku sobie, liczą 200 cent. szerokości. Stanik zasznurowany jest wierzchem na plisowanej kamizelce z czerwonego kaszmiru; takież plisowanie dane z tyłu przy 15 cent. długim rozporku baskiny. Kołnierz i rękawy zakończone czerwoną wypustką.

N. 16. Suknia ze stanikiem i kamizelką.

Przybranie sukni z ciemno granatowego dyagonalu stanowią szlaki haftowane maszynowo, 22 i 7 cent. szerokie, odrobione blado niebieską włóczką crevel. Spódnica o ile widoczna z pod draperyi, naszyta jest szerokim wolantem haftowanym, z pod którego wygląda wązkie plisowanie. Na draperyę potrzeba bryta 300 cent. szerokiego, sfałdowanego wokoło i wszytego w pasek; lewy brzeg boczny skrócony do 37 cent. przez złożenie trzech głębokich fałd. zachodzi z boku pod szeroką atłasową szarfę; drugi brzeg boczny, dochodzi także do szarfy i spada gładko. Stanik zdobny szlakiem haftowanym, ma kamizelkę u dołu przewiązaną szarfą.

N. 17. Ubranie małej dziewczynki.

Na podszewce stanika, gładko dopasowanej, materyał zwierzchni założony jest z przodu z boków zapięcia w 2, 5 cent. szerokie kontrafałdy, a środkiem pleców dane po 3 płaskie fałdy zwrócone do siebie. Na spódniczkę 35 c. długą spada druga z gładkiego materyału, 30 c. długa, 175 szeroka, w górze kilkakrótnie przemarszczona, u dołu zastębnowana w cztery wązkie zakładki, z boku pod szarfę otwarta. Ryc. 17 przedstawia sukienkę odrobioną z ciemno bronzowego kaszmiru i aksamitu w pasy bronzowe, piaskowe i złote; dla oszczędności można taki aksamit zastąpić kaszmirem, naszytym kolorową pletnią.

N. 18. Stanik z kamizelką.

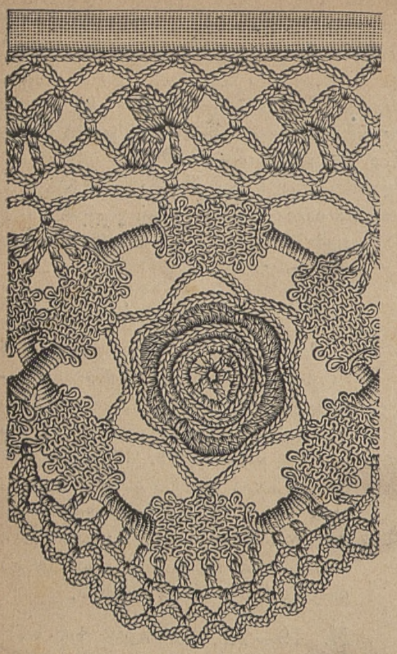
Przy spódnicy à la paysane z bronzowego kaszmiru, włożony takiż dość długi stanik, zdobny haftem łososiowego koloru i takąż kamizelką sznurowaną. Wykłady przy kamizelce i wysoki stojący kołnierzyk dane z adamaszku jedwabnego, łososiowego koloru; szmizetka marszczona może być z żółtawego batystu lub z białej materyi.

N. 19—22. Serweta na stół, zdobna robotą szydełkową i haftem. Skrócenia: o—oczko, o. pow.—oczko powietrzne, o. śc.—oczko ścisłe, sł.—słupek.

Ryc. 22 przedstawia serwetę z grubego szarego płótna; szlak haftowany otacza środek serwety w ten sposób, iż wypada tuż przy brzegu stołu, brzegi zaś z boków spuszczone są na 42 c. szerokości. Wszywka i koronka rozdzielone są gładkim pasem płótna, 6 c. szerokim, z brzegów wązko zaobrąbionym; robota szydełkowa, przedstawiająca się bardzo efektownie, jest jednak pospieszna z powodu grubości materyału. Stanowi go szara medalionowa mignardisa i bawełna kordonkowa N. 14; ryc. 20 przedstawia w naturalnej wielkosci szlaczek górny do koronki wskazanej na ryc. 19, podług której można z łatwością odrobić wszywkę, obrabiając okrągłe rozety u dołu takim samym szlaczkiem jak u góry. Środki kółek dane z mignardisy zapełnione są wypukłemi rozetami w kształcie róż; każda rozeta wykończa się oddzielnie i dopiero ostatnim rzędem wrabia się w kółko. 5 o. pow. złączonych w kółko stanowi zaczęcie rozety; jako pierwszy rząd robić 5 o. pow., 5 sł. przedzielanych 3 o pow., zajętych za kółeczko środkowe, 3 o. pow. Drugi rząd: w każdy ząbek między sł. robić 1 o. śc., 3 sł. i 1 o. śc. W trzecim rzędzie robi się podstawę pod drugi rząd listków—przerabia się 5 razy, po 1 o. śc. między dwoma listkami i 4 o. pow., za które w czwartym rzędzie zajmuje się 1 o. śc., 5 sł. i znów 1 o. śc. W piątym rzędzie robi się podstawa pod trzeci rząd listków, dając po 1 o. śc. między dwoma listkami poprzedniego rzędu i 5 o. pow., za które w szóstym rzędzie zajmuje się 1 o. śc., 6 sł. i 1 o. śc. W siódmym rzędzie wrabia się rozetkę w kółko z mignardise, robiąc * 5 o. pow., 1 o. śc., zajęte podług ryc. 19 za dwa pikoty, 5 o. pow., 1 o. śc., zajęte między dwoma listkami rozetki; powtarzać od gwiazdki. Po wrobieniu rozetki trzeba uciętą nitkę starannie zakończyć. Górne zakończenie koronki łatwo obliczyć i odrobić podług ryc. 20. Na ryc. 21 dajemy wzór wszywki, w której także w kółkach z mignardise medalionowej dane gwiazdki szydełkowe z listków spiczastych, zaczepianych czubkami za pikoty. Rozeta zaczyna się od którego z listków, robiąc * 6 o. pow., 1 o. śc. za pikot medalionu, a dalej z powrotem w o. pow. zajmować 1 o. śc. i 5 sł., co powtarza się 11 razy od gwiazdki, poczem 1 o. śc. łączy się w gwiazdkę za pierwszy listek, a jako środek gwiazdki robić 3 o. pow. i 11 sł. zaczepionych za listeczki podług ryc. 21. Miejsca puste w zagłębieniach kółek z mignardise, zapełnione są łańcuszkiem



N. 11. Suknia z fartuszkową tuniką. N. 12. Ubranie z paletotem. Krój podług r. 36 w N. 44. N. 13. Suknia z draperyą odmiennie z boków upiętą. Patrz r. 18 w N. 44. Krój i plecy na arkuszu N. VII, fig. 32-33. N. 14. Suknia z draperyą z chustek pledowych. Patrz ryc. 12 w N. 44. Krój na arkuszu N VIII, fig. 34—35. N. 15. Suknia zdobna sznurowaniem. N. 16. Suknia ze stanikiem z kamizelką. N. 17. Ubranie małej dziewczynki.



N. 19. Koronka szydełkowa z medalionową mignardise. Patrz ryc. 20.

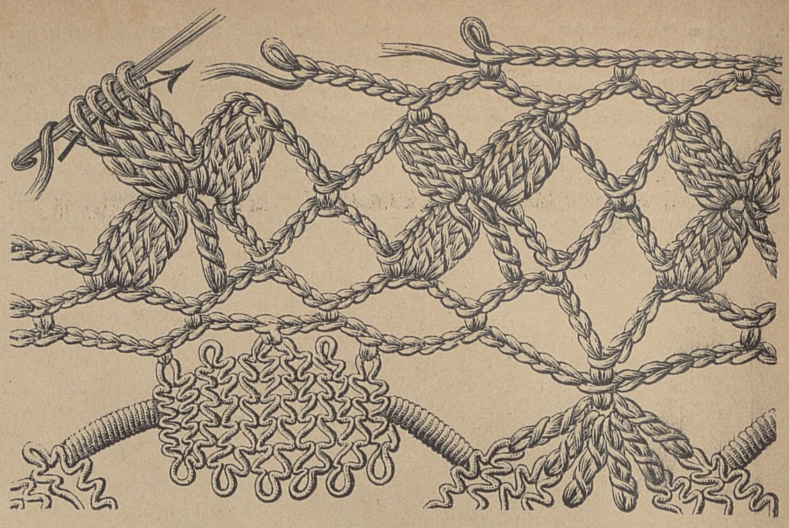
z o. pow. i dwoma listkami robionemi jak na gwiazdkę. Słupki stanowiące zakończenie brzeżne obrobić podług c. 21

N. 23—25. Podnóżek przed biórko.

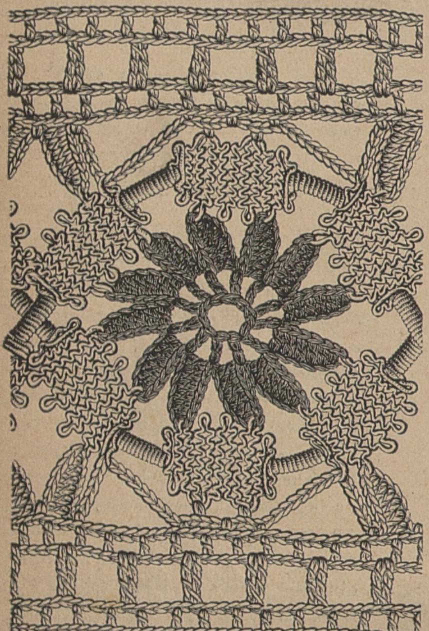
Zamiast dywaników usuwających się z pod nóg, bezporównania praktyczniejsze są przy biurkach do pisania poduszki, z przodu zupełnie nizkie, ku tyłowi dla większej dogodności wyżej wysłane. Ryc. 23 przedstawia podnóżek 62 cent. długi, 40 szeroki a 10 cent. wysoki z tyłu; boki pokryte są pluszem lub skórą, wierzch zaś zdobi piękny haft kolorowy. Model odrobiony był na grubej kanwie, włóczką hamburgską, skośnym ściegiem gobelinowym, licząc po 2 nitki wzdłuż a 1 wszerz. Ryc. 25 przedstawia w naturalnej wielkości część szlaczku, na ryc. 24 dany deseń haftu, licząc dwa ściegi na każdą kratkę deseniu. Skończony podnóżek obszywa się wokoło górnych brzegów grubym kolorowym sznurem, od podłogi zaś dane mocne grube płótno.



N. 18. Stanik z kamizelką.



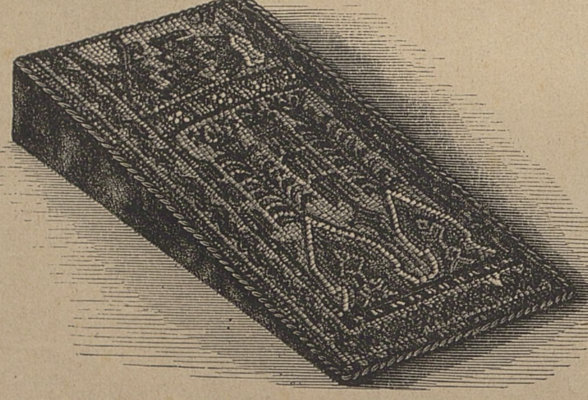
N. 20. Wykonanie szlaczka górnego do ryc. 19.



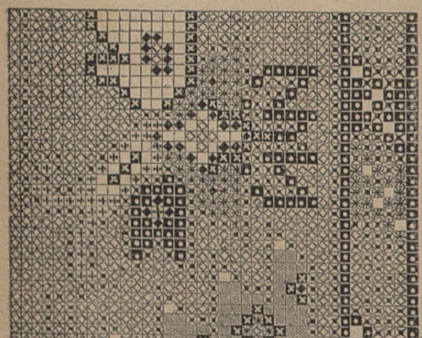
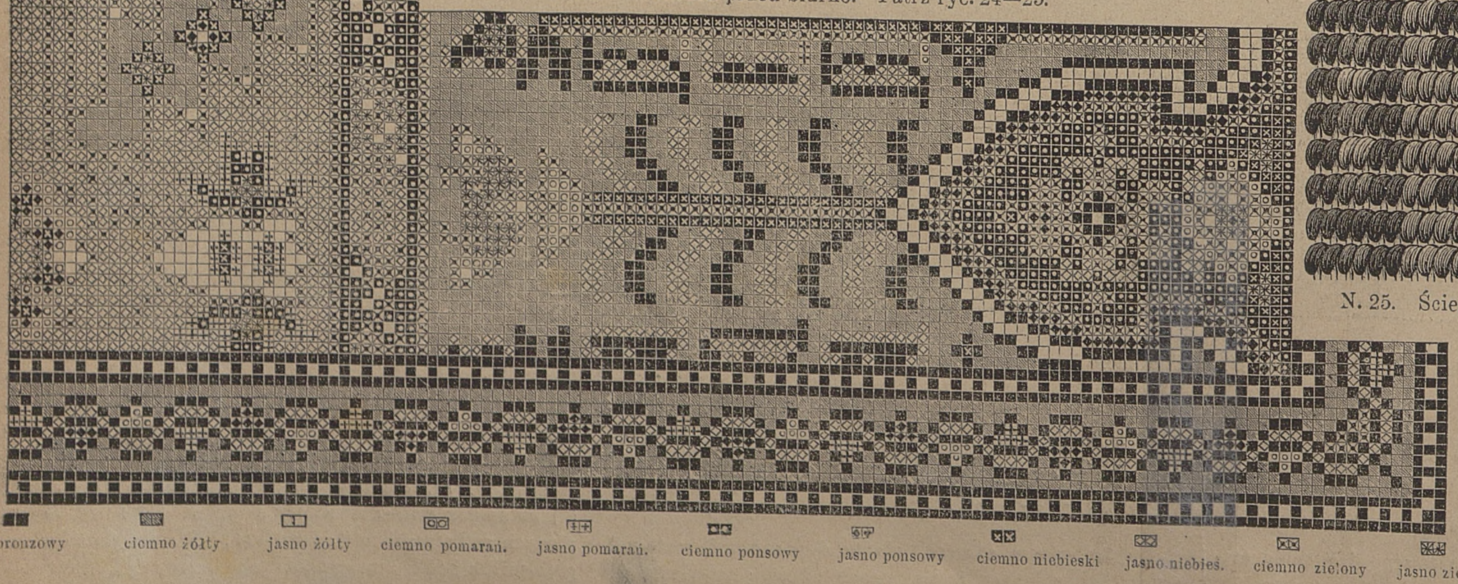
N. 21. Wszywka szydełkowa z medalionową mignardise.



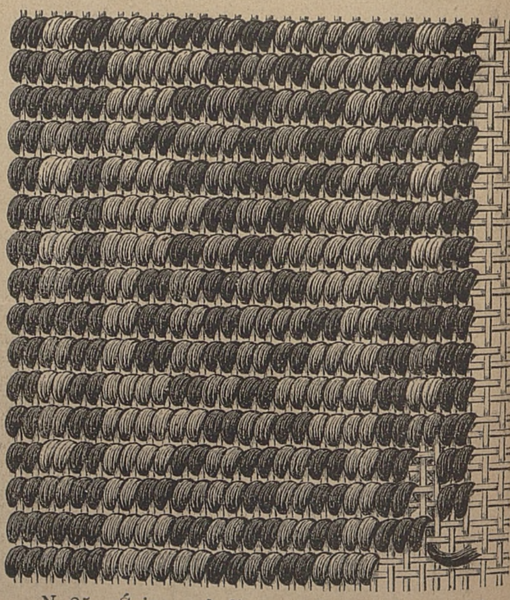
N. 22. Serweta z wyszyciem i koronką szydełkową. Patrz ryc. 19—21.



N. 23. Podnóżek przed biurko. Patrz ryc. 24—25.

N. 24. Deseń do ryc. 23. Ścieg gobelinowy skośny patrz ryc. 25.



N. 25. Ścieg gobelinowy skośny, do ryc. 23. Patrz ryc. 24.



Pl. 627.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.